Nr. 9. Lwów, dnia 1. Września 1887. Rok X.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

NA STANOWISKU.

OBRAZEK SCENICZNY W JEDNYM AKCIE

napisał

WŁADYSŁAW hr. KOZIEBRODZKI.

(Dokończenie).

SCENA IV.

(Scena chwilę pusta). JADWIGA.

JAWIGA (wchodzi innemi kulisami od lewej strony).

Widocznie zabłąkałam się, ścieżki tak pokrzyżowane, iż wyjścia znaleść nie mogę. Nie wiem co począć?... jak iść dalej?... A taka cisza dokoła! Co robić? czy wołać?... (Idzie kilka kroków i rozpatruje się dokoła). Zdaje mi się, iż tutaj już byłam. (Patrzy na broń). A tak, to stanowisko pana Maurycego, to jego broń, ale gdzie się podział? (Po chwili). Z jakim pospiechem oddalał mnie przed chwilą. (Ze smutkiem). O! wszystko co mi pisała i mówiła Marya jest tylko przywidzeniem jej poczciwego serca i wyobraźnią jej egzaltowanej główki... On ten sam, co dawniej... nic się nie zmienił, oddany tylko polowaniu i strzelbie, o tem tylko myśli i tem tylko żyje. (Po chwili). Jaki dziwny urok w tej ciszy. A jednak wszyscy mówili, iż był mną zajęty i bardzo nawet, i mnie się tak zdawało... byłam nawet tego pewną, bardzo pewną, wszystko przemawiało za tem i oczekiwałam z radością chwili, w której... (zamyśla się). O!... a on tymczasem odjeżdża na polowanie. — Nie! nie! on o jednem tylko marzy, tylko jedno go zajmuje, tylko jedna namiętność nim włada, dla której wszystko poświęcić gotów. (Po chwili). Ale co teraz robić? co począć?... czy iść dalej?... (Po chwili). Zawód ten złamał mi życie... poszłam za wolą rodziców i Bóg wie jeden jak boleśne przeszłam chwile. (Po chwili). I po latach znów się spotykamy, a on mi mówi tylko o lisach, wilkach i dzikach... ha! ha!... jak gram to ucieka, a przed chwilą obojętnie wskazuje mi drogę. — Po co więc marzenia dawne budzić... a jednak — a! jaka ja nieszczęśliwa! (Płacze cicho i zakrywa twarz chustką).

SCENA V.

JADWIGA. MAURYCY.

MAURYCY (za sceną woła).

Pani Jadwigo!... Pani Jadwigo!... gdzie pani?!

JADWIGA (do siebie).

Szuka mnie. O! niechaj też nie widzi. (Szybko ociera łzy).

MAURYCY (wpadając).

Szukam panią wszędzie!... i jakże szczęśliwy jestem, iż przecież znajduję!

JADWIGA.

Dziękuję za troskliwość, aleś mi pan fałszywą widocznie wskazał ścieżkę...

MAURYCY.

O przysięgam, iż to nie było moją intencyą.

JADWIGA.

A więc przez pospiech, aby się mnie pozbyć jak najprędzej.

MAURYCY (żywo).

Tak jest!... (Poprawiając się). Ale!... nie! nie! to jest...

JADWIGA (śmiejąc się).

O! niech się pan nie tłumaczy!...

MAURYCY.

Chciałem... to jest nie chciałem... (Idzie ku kłodzie i chustką ściera kłodę). Ale niechaj pani teraz odpocznie, oto jest miejsce... Niechaj pani raczy usiąść, wygodniejszego miejsca ofiarować nie mogę — jak na polowaniu.

JADWIGA.

I za tę troskliwość dziękuję, lecz z niej korzystać nie będę i proszę tylko wskazać mi odpowiednią ścieżkę, abym do Maryi powrócić mogła...

MAURYCY.

Uczynić tego nie mogę, gdyż miejscowość jest mi nieznaną.

JADWIGA.

Ha! to jeszcze raz próbować będę szczęścia (chce odejść).

MAURYCY.

Ależ to być nie może. A zresztą i tak pani miała zamiar przypatrzyć się polowaniu...

JADWIGA (smutnie).

Już się dość przypatrzyłam.

MAURYCY.

Ależ to nie polowanie jeszcze.

JADWIGA.

Dla mnie już zupełnie wystarczające.

MAURYCY.

Nie! nie! Pani odejść nie może... Polowanie już rozpoczęte, albo rozpocznie się zaraz, a więc przechodzić lasem obecnie, to grozi prawdziwem niebezpieczeństwem.

JADWIGA.

Aż tak!

MAURYCY.

Świętą mówię prawdę i błagam panią... a nawet prawa myśliwskie wzbraniają tego...

JADWIGA.

A więc kiedy aż prawa wzbraniają — to w takim razie już się im poddać muszę.

MAURYCY.

A to miejsce spoczynku... proszę.

JADWIGA.

Dziękuję. (Siada na kłodzie).

MAURYCY (n. s.)

Jakaż przecudowna... (Głośno). Będę się starał panią rozerwać i zastąpić Stanisława, i opisać, przedstawić wszystkie przyjemności myśliwstwa, a ma ich tyle...

JADWIGA (śmiejąc się).

Ciekawą jestem i słucham.

MAURYCY (n. s.)

Nie wiem co się ze mną dzieje.

JADWIGA.

Słucham bardzo uważnie! (patrzy na niego) to musi być bardzo interesujące.

MAURYCY.

O! bardzo interesujące i kto wie? może pani nabierze zamiłowania do myśliwstwa...

JADWIGA (śmiejąc się).

Wątpię, bo ktoby kluczów i krósien w domu pilnował?...

MAURYCY (n. s.)

Czarująca! (Głośno). Można pogodzić...

JADWIGA.

Krosna ze strzelbą — wątpię. A więc słucham!...

MAURYCY.

Weźmy naprzykład dzisiejsze polowanie. Czy jest coś piękniejszego, coś więcej uroczego, jak ten las w jesieni, przypatrz się pani, jaką przecudną tęczę kolorów tworzą te liście po drzewach, jaka paleta malarza odda te odcienia, jaki największy artysta pochwyci tę grę świateł i tę harmonią tonów, które oko tak zachwycają i pieszczą — o! napatrzyć się temu nigdy dość nie można! — A ta cisza urocza, majestatyczna, którą czasem przerwie tylko jakiś szum tajemniczy, jakaś pieśń, skarga czy modlitwa, która z tych drzew i konarów wyrywa się ku niebiosom...

JADWIGA (rozmarzona).

Ależ to wszystko poezya, a nie polowanie.

MAURYCY (żywo).

O! bo tak pani, każdy z nas myśliwych jest i musi być chociażby trochę poetą, może nie zdoła nigdy tych poetycznych uczuć słowem opisać, pędzlem ożywić, muzyką wyspiewać, ale obcując ciągle z tą nieskończoną, tak wiecznie zmienną, a tak wiecznie piękną przyrodą, musi ją pokochać, musi ją uwielbiać, musi tę całą poezyą, która jest rozlana dokoła, odczuć, musi ją pojmować, bo idzie ona wprost do serca... i mimowolnie zachwyca... upaja!...

JADWIGA (wzruszona).

Słucham dalej.

MAURYCY (rozmarzony).

A czy zima mniej piękną?... mniej uroczą może?... Gdy w głębokich kniejach rozłożyste świerki i wysmukłe sosny pochylą ciężkie, śnieżne okicia, o! wtedy tworzą się jakieś najfantastyczniejsze gmachy, jakieś łuki podziemnych pieczar, jakieś sklepienia i kolumny powalonych świątyń, których żaden nie wymyśli architekt, niby urzeczywistnienie czarownej baśni z tysiąca nocy, a to wszystko do słońca lśni się bogactwem rozrzuconych skarbów, skrzy blaskiem najdroższych kamieni! Cudowne to!! (Po chwili). Albo wiosna, pani!... ta wiosna budzącego się życia, gdy nadejdzie ciąg słonek...

JADWIGA (śmiejąc się).

A więc to tak widocznie rok cały...

MAURYCY.

O ile wolno...

JADWIGA.

Winszuję!...

MAURYCY.

Ale są jednak miesiące, w których prawo polować zabrania.

JADWIGA (śmiejąc się).

O! ja nie panom winszuję!...

MAURYCY.

Tylko?

JADWIGA.

Tylko żonom tych zapalonych myśliwych.

MAURYCY (zdziwiony).

A to dla czego?

JADWIGA.

Jeżeli tak większą część roku myśliwstwo coraz nowych poza domem dostarcza przyjemności i wrażeń...

MAURYCY.

A więc cóż z tego?

JADWIGA.

Ha! jeżeli pan chce, to może nic. Ale wyobrażam sobie, jak dom taki musi być pusty, jaki nudny i smutny. Strudzony Nemrod szuka w domu tylko chwilowego spoczynku, marząc o nowych polowaniach, nowych wrażeniach i zdobyczach. — A! bardzo miła egzystencya!...

MAURYCY (zmięszany).

Ależ proszę pani, przecież prawdziwie kochająca żona zabawom męża nie powinna żadnych stawiać przeszkód...

JADWIGA.

Naturalnie... niech pan mąż bawi się i poluje jak rok długi, a żona niech przy krosienkach spogląda przez okno i liczy godziny jego powrotu — a jak powróci, niech wysłucha wszystkich przygód myśliwskich, wszystkich powodzeń i niepowodzeń — usłyszy dzieje każdego strzału i na drugi dzień to samo... Niech się poświęca...

MAURYCY (przerywając).

Przecież prawdziwą miłość okazuje się poświęceniem...

JADWIGA.

Prześliczna teorya!... której tylko panowie sami nigdy wykonywać nie chcecie...

MAURYCY.

O! przepraszam, racz pani powiedzieć, iż wykonujemy ją zawsze, jak się nadarzy sposobność.

JADWIGA (śmieje się).

Ha!... ha!... chciałabym to kiedy widzieć... naprzykład pana, poświęcającego swą namiętność myśliwską... ha!... ha!... (słychać w głębi sceny dwa ciche, ale wyraźne głosy trąbki).

MAURYCY (nadsłuchuje).

Poświęcić! namiętność myśliwską, o! z chęcią!... gdyby... dla czego nie... (Trzeci głos trąbki). Sygnał! (chwyta za broń). O! teraz to już sygnał stanowczy.

JADWIGA.

Jaki sygnał?

MAURYCY.

W tej chwili pogonka stanowczo z miejsca rusza, polowanie się zaczyna, (idzie w głąb i staje koło drzewa) będę mógł obecnie żywym przykładem udowodnić pani wszystkie przyjemności polowania...

JADWIGA (śmiejąc się).

Więc część poetyczna już się skończyła?

MAURYCY (żywo półgłosem).

Pst! Pani na Boga! teraz musimy mówić cicho... bardzo cicho, aby zwierzyny nie spłoszyć.

JADWIGA (półgłosem).

Jakiej zwierzyny?

MAURYCY (stoi pod drzewem i nachylony mówi półgłosem).

Tej, którą pogonka pędzi... rozumie pani?...

JADWIGA (j. w.)

Nie bardzo...

MAURYCY (j. w.)

Co pani mówi?

JADWIGA (j. w.)

Nie bardzo.

MAURYCY (przygląda się w głąb sceny i po cichu przystępuje do Jadwigi).

W tej chwili nic nie idzie, to też mogę panią objaśnić. Oto w głębi lasu rozstawiona jest pogonka, która powoli ku nam postępuje... rozumie pani?...

JADWIGA (obojętnie).

Zdaje mi się że rozumiem.

MAURYCY.

I wszelką zwierzynę, która jest w miocie pędzi ku nam — a my rozstawieni po za drzewami... czekamy aż... (przygląda się w głąb sceny) aż tak jak teraz... (skrada się powoli i po cichu do drzewa) nadchodzi zając... widzi go pani? tam na lewo...

JADWIGA (wstaje żywo — głośno).

Gdzie? nie widzę!...

MAURYCY.

Ah! na Boga! spłoszyła go pani!... zwrócił się na bok... na stanowisku trzeba być bardzo spokojnym i ostrożnym...

JADWIGA (n. s.)

Jakżeż tem zajęty...

MAURYCY (półgłosem).

Prawda pani, jakie to zabawne... jakie interesujące?... Nie ma jak polowanie! a jestem przekonany, iż wprawiłabyś się pani bardzo prędko i nabrała zamiłowania...

JADWIGA.

Nie sądzę.

MAURYCY (półgłosem).

Ciszej... ciszej...

JADWIGA (półgłosem).

Ależ wszystko to szkaradną i wcale nie rycerską zasadzką na biednego zwierza...

MAURYCY (j. w.)

Co pani mówi?

JADWIGA (j. w.)

Już nic... nic... (n. s.) Łzy mi się cisną do oczów...

MAURYCY (j. w.)

Pani!... pani!... teraz idzie do nas prześliczny rogacz, tam na prawo. — Ale niech pani nie wstaje, widzi go pani?... jakie rogi!... to zdobycz...

JADWIGA (półgłosem z trwogą).

Panie Maurycy!... i będzie pan strzelał?...

MAURYCY (j. w.)

Jak tylko na strzał nadejdzie!...

JADWIGA (j. w.)

Ależ ja okropnie strzałów się boję... zlituj się pan! (składa błagająco ręce). Zlituj się pan!...

MAURYCY (patrzy z zajęciem w głąb sceny, półgłosem).

Przyzwyczai się pani z czasem... ręczę... to tylko z początku robi wrażenie...

JADWIGA (ze łzami).

Więc tak pan sądzisz?...

MAURYCY (j. w.)

To kwestya nerwów... Ale jakie śliczne ma rogi!... zbliża się coraz więcej... (składa się do strzału).

JADWIGA (półgłosem, prawie płacząc).

To niech pan strzela... nie chcę panu psuć zabawy... widzę, iż to za wielkie poświęcenie dla pana... Zamknę oczy i zasłonię sobie uszy... (ręce przykłada do uszu i zamyka oczy).

*

MAURYCY (po chwili odwraca się i patrzy długo na Jadwigę).

Co widzę, ona płacze! (Odkłada strzelbę od ramienia). Nie chce mi psuć zabawy, bo to za wielkie dla mnie poświęcenie... (opiera broń o drzewo i przybliża się do Jadwigi). O! jakiż ze mnie egoista!... O! tak, szkaradna namiętność... nie umiem zrobić poświęcenia nawet z jednej chwili!... Boże! A ona biedna drżąca... przelękniona, płacze... O! poczciwa, dobra, szlachetna!... a ja?...

GŁOS ZA SCENĄ (z oddalenia z prawej strony cicho, ale wyraźnie).

Przepuścił rogacza... zakochany!...

MAURYCY (robiąc gniewny ruch ręką).

E! co mi tam wasz rogacz!... Zakochany!... a tak!.:. tak, zakochany i nie od dziś! a dziś więcej jak kiedykolwiek. Biedna... płacze... poczciwa! co to za serce! nie chce mi psuć zabawy. (Przybliża się po cichu). Tak, kocham ją! o! kocham nad życie! I po co się wahać dłużej!... niech się dzieje co chce! (klęka przed nią i patrzy na nią z uczuciem).

JADWIGA (półgłosem).

Czy już?

MAURYCY (nieśmiało).

Już pani...

JADWIGA (spostrzegłszy klęczącego Maurycego zrywa się żywo i cofa z wzburzeniem).

Co to jest?... Panie Maurycy! a! to niegodne! (Zakrywa twarz rękami).

MAURYCY (z uczuciem).

Kocham panią...

JADWIGA (cofa się).

Ale powstań pan!... proszę...

MAURYCY (klęcząc ciągle).

Błagam! nie gniewaj się pani...

JADWIGA (z powagą).

Ale proszę, niech pan powstanie...

MAURYCY (powstaje).

O tak! kocham panią nad życie!... i błagam z głębi serca o jej rękę!...

JADWIGA (z goryczą).

Przestań pan... proszę...

MAURYCY.

O! prośba ta jest wyrazem najgłębszych, najgorętszych mych uczuć!...

JADWIGA (j. w.)

Ha!... ha!... tak powstała nagle — na polowaniu!... Och! przestań pan!

MAURYCY.

O! nie!... nie!... ja kocham panią już lat tyle... lat tyle o pani tylko marzę i widzę, iż panią jedną tylko kochałem i kocham tylko w życiu!... i wszystkie dawne odżyły marzenia, wszystkie dawne nadzieje!... Żeby pani wiedziała com ja przecierpiał! com ja przebolał!...

JADWIGA (j. w.)

Ależ na te cierpienia w polowaniu pociechy zawsze znajdywał pan dosyć.

MAURYCY (żywo).

A więc tak, przyznaję, polowanie lubię namiętnie i dziś widzę, iż namiętność ta chwilami owładała mnie zbyt silnie... Ale przed prawdziwem głębokiem uczuciem namiętność ta w końcu ustąpić musi.

GŁOS ZA SCENĄ (z prawej strony cicho ale wyraźnie).

Pilnuj lisa!...

MAURYCY (zrywa się i aż zatacza; biegnie, porywa strzelbę; robi ruch ręką, odkłada strzelbę i wraca szybko).

Ustąpić musi... widzi pani? ustąpić musi...

JADWIGA (n. s.)

Zabawny... (Głośno z uśmiechem). Rzeczywiście, dowód nie mały...

MAURYCY.

Nie śmiej się pani, ale na inny nie stać mnie w tej chwili...

GŁOS ZA SCENĄ (z prawej strony cicho ale dobitnie).

Przepuścił lisa! ha!... ha!... zakochany!...

MAURYCY.

Czy słyszy pani ten śmiech szyderczy, iż przepuściłem lisa?... i to słowo zakochany,.. oni mnie miłością prześladują ciągle...

JADWIGA.

Wszak mógł pan strzelać!...

MAURYCY.

Strzelać wobec pani?... gdy pani strzałów się boi...

JADWIGA.

Takie poświęcenie...

MAURYCY.

Wszak prawdziwa miłość poświęceniami się stwierdza... to moja teorya miłości.

JADWIGA (n. s.)

Poczciwy.

MAURYCY.

O! błagam panią o dobre a życzliwe słowo! o słowo nadziei!...

JADWIGA (z uśmiechem).

Ależ teraz polowanie... strzelaj pan!... wszak polowanie rzecz tak seryo!...

MAURYCY.

O! nie żartuj pani... już teraz nie chcę słyszeć o żadnem polowaniu, ani o strzelbie!...

JADWIGA (z kokieteryą).

I to tak na długo?

MAURYCY.

Od pani zależeć będzie.

JADWIGA (z powagą).

A gdybym ja warunków nie chciała stawiać żadnych...

MAURYCY (klęka żywo i całuje jej ręce z uniesieniem).

To mi je podyktuje moje serce!... O! jakże jestem szczęśliwy! Wszystkie polowania na świecie nie warte jednej takiej chwili.

GŁOS ZA SCENĄ (od prawej cicho ale dobitnie).

Ha! ha! przegrał zakład!...

MAURYCY (wstaje).

O! tak, przegrał zakład, ale zyskał szczęście! (do Jadwigi). Czy tak?

JADWIGA.

Ale bierz pan strzelbę i strzelaj! — teraz polowanie. Nie chcę aby z pana żartowano.

Zasłona spada.

Chłopice 1879 roku.

Z życia myśliwskiego na Polesiu.

Wyprawa na łosie.

Raz folgując zanadto myśliwskiego ochocie,
Do wróbli i czeczotek strzelałem na płocie,
Co widząc stary Hryszko zmarszczył brwi surowo,
Plunął nawet na stronę i pokiwał głową:
— „Ej, paniczu! paniczu! w tem nie szukaj chwały,
Że po strzale tak łatwym legnie ptaszek mały.
Raz, że szkoda naboju, powtóre bez winy
Za cóż zabijać drobne i biedne ptaszyny,
Co w mrozy i zawieje tulą się pod strzechy?
Grzech doprawdy — i wielki — z takowej uciechy.
Czy to, proszę panicza, w lasach nie ma zwierza?
Tam z ochotą myśliwską niechaj panicz zmierza.
Czy zgoda na umowę paniczu? Jeżeli
Pan obieca, że nigdy do ptaszka nie strzeli,
Ja sam objadę łosia, pana tak postawię,
Że rogal doń podejdzie na trzy kroki prawie".
— „I owszem zgoda!"
Nie przeszło tygodnia,
W którym starego Hryszkę wyglądałem co dnia,
Gdy zjawił się nareszcie. Znaczno było z miny,
Że jest zwiastunem jakiejś pomyślnej nowiny.
— „Dobre wieści paniczu! W bliskim oczerecie
Jest łoś, rogal, jest łosza, z niemi małe trzecie,
Jutro ruszym z paniczem, ledwo dzień zaświta;
Mróz bez wiatru niewielki, pora wyśmienita!
Bardzo nawet pomyślne będzie polowanie.
Wziąłem z sobą umyślnie podjazdowe sanie
I dwóch synów myśliwych, a upewniam pana:
Będziem palić do łosiów, jak do kopy siana.
A panicz do wyprawy jutrzejszej czy gotów?"
— „Jakto? — ja zawsze mogę!"
— „Toż dużo kłopotów
Wszystko dobrze urządzić. Czy strzelba nabita?
— „Nie."
— „Cóż będzie? — Powtarzam: ruszym, gdy zaświta.
Masz pan przynajmniej kule dobrane do miary?"
— „Nie".
— „To jakże paniczu?"
— „Et! wymyślasz stary!
Czyż to nabicie strzelby taki kłopot wielki?"
— „Z przeproszeniem panicza! — łosie nie wróbelki.
Widzę, że nic nie będzie. — Niech panicz pozwoli!
Ja sam wszystko urządzę dobrze i powoli.
Trzeba nabój tak pięknie dopasować w rurze,
Żeby kula po strzale poszła jak po sznurze.
Pudłować nie wypada, bo na cóż mozoły
Jeździć, szukać? — A oto dla pana postoły!
Bo w butach będzie chłodno, rzecz zwyczajna — zima,
Przytem w łapciach człek lepiej na śniegu się trzyma.
Jeszcze jedno: niech stanie w pośród nas umowa,
Że co powiem, to panicz wypełni do słowa,
Bo wszystko od najmniejszej zginie bagatelki.
A jeszcze raz powtarzam: łosie nie wróbelki!
Będzie wstyd gdy przed nosem uciekną i kwita.
O Boże mój! — toż strzelba pańska nie wymyta!
Tfu! z rurek — patrz pan — jakieś sypią się popioły.
Czy pan jedziesz na sojki, albo na dzięcioły?
Dalibóg, że z paniczem to skaranie moje!
Jak tu, gdy strzelba brudna, dać pewne naboje?
Zabieram pańską fuzyę, przyniosę ją zrana
Czystą, dobrze nabitą, gdy przyjdę do pana.
He! he! w myśliwstwie widzę panicz nie daleki!
Niech będzie pochwalony Chrystus Pan!"
— „Na wieki!"
Ledwo pierwsze na wschodzie dnia zabłysły smugi,
Hryszko, stary osocznik, był już na usługi.
Zdziwił się, gdy mnie ujrzał, że jestem ubrany.
— „Ot, może i myśliwy będzie zawołany
Kiedyś z czasem z panicza! — Jedźmy bo już dnieje
I kur po raz ostatni o świtaniu pieje."
Na saniach, które tylko jedne zna Polesie,
Dobrych do długiej drogi po błotach i lesie,
O płozach zbyt wysokich do rączego biegu,
Ale za to jedynych po głębokim śniegu —
Ruszyliśmy powoli, w rząd siadłszy we czworo.
Koń, choć silny, szedł stępo, jazda szła niesporo.
Zdawało się, że sanie ruszają się ledwie.
Tak upłynęło godzin monotonnych ze dwie.
Proszę Hryszki: — „Jedź prędzej, bo mnie to już nudzi."
— „Kto spieszy, mój paniczu, naśmieszy ten ludzi.
Czyż to łoś przywiązany w lesie na nas czeka?
Może pójść — to my za nim podążym z daleka.
A jeżeli koń wtedy będzie już zmęczony,
To i kwita z roboty! sługa uniżony!"
Zamilkłem, przekonany i zacząłem z nudy
Rozpatrywać miejscowość, com zaniedbał wprzódy.
Jechaliśmy bez drogi w dzikiej okolicy,
Którą zna zwierz poleski, oraz osocznicy.
Przed nami legła piękna, dziewicza kraina,
Oczeret niezmierzony, lub leśna głąb sina,
W której sosny i jodły, wysmukłe, stożkowe,
Wznosiły nieco śniegiem posrebrzoną głowę;
Obok wspaniałych klonów dąb garbaty, stary
Szeroko rozpościerał potężne konary.
Wszystko gęstym jałowcem, leszczyną podszyte,
Zdało się chować skrzętnie tajnie w głębi skryte.
Cisza — i tylko dzięcioł w suchy pień kołata,
Albo spłoszona wrzaśnie sojka popielata.
Z rzadka trznadel zaćwierka, orzechówka świśnie,
Lub gile się odezwą, czerwone jak wiśnie.
Hryszko widząc, że jazda mi się bardzo dłuży,
Rzekł: — „Niech panicz tymczasem papieroski kurzy,
A kiedy już zajmiemy w lesie stanowisko,
Kurzyć wara! bo łosie nie podejdą blisko.
To ma węch osobliwszy. — Gdzie rzucę garść siana,
Tam proszę jak najciszej zeskakiwać pana,
Skryć się za grubą sosnę, co na wierzchu sucha,
Być cicho, patrzeć pilnie i nadstawiać ucha.
Łoś do pana przyjść musi przez te oczerety.
Niech panicz się nie spieszy, dopuści do mety,
Wymierzy regularnie w pierś lub pod łopatkę,
A główna rzecz być cicho, bo opuścim gratkę.
Tu już łosie są blisko. Patrz pan — ślady łoszy.
Teraz cicho! — nie gadać! bo się zwierza spłoszy."

Siedziałem do skoczenia wciąż przygotowany —
Jedziemy i jedziemy! — Już zdecydowany
Byłem spytać półgłosem: „czy rychło?“ — w tej chwili
Ujrzałem, że się Hryszko na bok z wozu chyli,
I rzucił garstkę siana.
Hop! — wpadłem w gąszczary.
Hryszko pojechał.
W prawo odemnie — dąb stary,
W lewo ciągnie się gęsty oczeret po błocie.
Kruk przeleciał, słyszałem szelest piór przy locie,
I cisza, martwa cisza. — Wsparłem się o drzewo.
Gęsty oczeret, który był odemnie w lewo,
Rzedniał w tem miejscu tak, że przedemną rozległa
Polana, otoczona zewsząd lasem, legła.
Z początku bardzo pilnie słuchałem, wpatrzony
W oczeret, na przestrzeni wielkiej rozrzucony,
I gdy czasem ptaszyna poruszała kity,
Serce mi biło, stałem jakby w ziemię w ryty,
I zdawało się nieraz z najmniejszym szelestem:
Oto łoś, łoś nadchodzi! — Nie! znów w błędzie jestem!
Bo ten szelest umilka, mam w około ciszę,
Tylko kita przy kicie z wiatrem się kołysze,
Tylko, gdy ptaszek siądzie, gałązka się chyli,
Tylko czasem sikorka cieniutko zakwili.
Może z godzinę trwało to oczekiwanie
I nudzić mię zaczęło. Właśnie na polanie
Ujrzałem zdala lisa. Choć meta daleka,
Myślę sobie: a wytnę! Kto się tam doczeka
Tych łosi, niech ich diabli! — Na szczęście w jałowcu
Lis się ukrył. Znów nuda w ciszy na manowcu!
Mrozik szczypie za uszy, w ręce nieco kole.
Myślę sobie: do diabła! ręce schować wolę.
Spuszczam kurki i sadzę ręce do kieszeni,
Siadam na śnieg i patrzę bezmyślnie w przestrzeni.
Zapalam papierosa, bo wielka ochota.
Czyż może dym aż kędyś zalecieć na błota?
W tem w czeretach coś trzasło, wyraźne stąpanie.
Słyszę, jak gdyby konia. To idzie, to stanie —
Zrywam się! — traf! traf! kurki. — Odgłos się oddala.
Serce mi bije, piersi wznoszą się jak fala.
Jeszcze chwila, a ręce i nogi zadrżały,
O kroków sto odemnie stoi łoś wspaniały.
Wyciągnął ku mnie chrapy, zwrócił się po wietrze
I kłapiąc uchem wciąga nozdrzami powietrze.
Raz! dwa! zagrzmiało w lesie z dwóch rur mej rusznicy.
Łoś skoczył w oczerety pędem błyskawicy —
I tentent jego susów coraz słabiej słyszę,
Znów cisza, tylko z wiatrem czeret się kołysze.
Gdzieś daleko strzał huknął, po nim zaraz drugi,
I znowu martwa cisza.
Czasu kawał długi
Minął, aż widzę z dala na wielkiej polanie
Hryszko z synami ciągną, a za nimi sanie
Przytłoczone zwłokami ogromnego zwierza —
I szereg lulki kurząc, zwolna ku mnie zmierza.

* * *

Słuchając, com mu prawił, Hryszko ustawicznie,
Patrząc na mnie lub synów, śmiał się sarkastycznie,
A pijąc pogrzebowe z myśliwskiej butelki,
Powtarzał:
— „Ej paniczu! — łosie nie wróbelki!“

Jan Niesłuchowski.

Stefan Batory jako myśliwiec.

Obrazek rodzajowy na tle wieku

przez

ADOLFA PAWIŃSKIEGO.

(Dokończenie.)

IV.

Zamiłowanie Batorego w myśliwstwie. — Wiadomości historyczne o jego wyprawach łowieckich. — Namiętne polowanie staje się podobno przyczyną śmiertelnej choroby. — Zdanie w tym względzie lekarzy nadwornych Simoniusza i Bucelli. — Obraz wyjazdu króla Stefana na łowy.— Łupy myśliwskie. -- Usposobienie króla dla zwierząt. — Dbałość o konie. — Zwierzyniec w Krakowie i żywe w nim okazy: lwy, wielbłądy, niedźwiedzie i in. — Zakończenie.

Ciężki kamień spadł Batoremu z serca, kiedy nareszcie w początkach 1582 roku stanął pokój zapolski. Nie wszystko poszło wprawdzie po myśli i woli dzielnego bohatera. Pod murami Pskowa zasępiło się jego pogodne czoło, długie niepowodzenie pod tą warownią napełniło goryczą duszę, a kłopoty pieniężne po ukończeniu wojny odbierały swobodę myśli. Ale troski te jednak prędko minęły. Do serca wstępować zaczęła nowa otucha. Po głowie śmiałego wojownika już inne znów snuły się pomysły szerokie, wielkie, do których nieraz czerpał świeżych sił i natchnienia, wsłuchując się samotnie w szum borów nadmeńskich, oddychając balsamicznem powietrzem niepołomskich lasów, lub wzrok bystry topiąc w bezdennych przestrzeniach równin Mazowsza podczas licznych swych wypraw łowieckich.

A wyjeżdżał na łowy, kiedy już o granice swego państwa był spokojny, przy każdej sposobności, w każdej porze roku, choćby z wiosną lub w lecie, bo jak wiadomo, zapalony myśliwy zawsze znajdzie przedmiot zajęcia — czy ptaka, czy zwierzynę, czy zwierza, za któremi będzie się opędzał to z rusznicą, to z oszczepem, to z psami, jak tam i gdzie kiedy wypadnie. Tak naprzykład w 1585 roku, gdy łowiectwo na dworze oczywiście już było w zupełności urządzone, gdy przeto i sieci i psów i sokołów nie brakło, król niemal całe lato, jak powiada Heidenstein, przyboczny jego sekretarz, polował w puszczy niepołomskiej [1]).

Nie należy jednak mniemać, jak zresztą przytoczone wyżej szczegóły uczą, iżby Stefan rozpoczął na dobre oddawać się łowieckiej zabawie dopiero po ukończonych wyprawach wojennych. Już król przybył do Polski z tą żyłką

[1]) Lib. VII, 238. Niepolomiciae... ob venationes... integram fere aestatem egisset...

myśliwską, a tu między nami dał się jej rozwinąć w zupełną namiętność wśród puszcz białowiezkich, jaktorowskich, niepołomskich, wśród kniei podlaskich i gęstych borów Mazowsza. Z każdej pogodnej pory korzystał, by się podczas łowów nacieszyć swobodą na rozległych łanach swojej Polski, czy to było wśród samych przygotowań wojennych, czy nawet w toku działań nieprzyjacielskich. A umiał król trzymać się w mierze. Nie zaniedbał się bynajmniej w obowiązku dla miłej zabawy, czy rozrywki. To się o świcie wymknie do lasu i wraca, gdy inni dopiero ze snu błogiego się budzą, to po drodze wypadnie na jeden lub dwa dni, poharcuje na koniu, pomknie za lisem lub zającem i wraca do domu, do rady nadwornej, a zawsze w porę.

W 1577 roku spieszy Batory, jak się już wyżej nadmieniło, z Bydgoszczy do Wrocławia na konwokacyą, zatrzymuje się pod Inowrocławiem, spędza dzień jeden na polowaniu i rusza dalej w drogę.

Po Sejmie odbytym w Warszawie w 1578 roku, na którym uchwalono znaczny pobór na wojnę moskiewską w połowie Marca, wybiera się król na kilka dni do Ostrołęki i znów spiesznie wraca do dawnej stolicy Mazowsza [1]). Nie byłoż polowanie celem wycieczki w takie odsunięte od świata kąty? Takie jest wprawdzie tylko nasze domniemanie, ale wyraźną wiadomość dają nam z tego samego czasu rachunki nadworne. Batory wybiera się w połowie Kwietnia przez Radom do Lwowa. Stanął w Jedlnie 16. Kwietnia. Około Jedlny takie rozległe bory. Więc się tu król zatrzymuje na dwa dni i jednego dnia poluje zawzięcie, bez względu na trudy dalekiej jeszcze przez Opatów, Sandomierz podróży do stolicy Rusi [2]). Następnego znów roku wraca król z pod murów zdobytego Połocka do Warszawy na sejm, mający się odbyć w Listopadzie, dla uchwalenia nowych zasiłków pieniężnych. Wyrusza Stefan z Wilna, przybywa po drodze do Grodna i ztąd zaraz puszcza się na kilka dni na łowy w nadniemieńskie bory. Wraca po sejmie do Grodna, jedzie przez Drohiczyn i Bielsk i znów zawadza o Białowieżę [3]). Mamyż się temu dziwić? Czyjaż dusza myśliwska umiałaby się oprzeć czarom, jakie rzuca na nią puszcza z jej królewskimi żubrami?

I znów w rok później, kiedy na początku 1581 roku ma się odbyć przed wyprawą pskowską ważny Sejm w Warszawie, król spieszy z Grodna, znajduje swobodnych kilka dni i od 7. do 10. Stycznia, jak wskazują rejestra podskarbstwa nadwornego, przebywa w Białowieży [4]).

Nie sąż to wymowne dowody zamiłowania, z jakiem się król oddawał łowiectwu? Gdyby ktoś jednak miał pewną w tej mierze wątpliwość, usunie ją stanowczo jedna jeszcze wiadomość, którą w krótkości przytoczę, prosząc o chwilkę cierpliwości.

Gotuje się wielka wyprawa pod Psków w 1581 roku. Król wyrusza z Wilna i sam kieruje ruchami swych zbrojnych hufców. Podąża ku Połockowi. W jego otoczeniu znajduje się Possewin, wraz z dwoma innymi Jezuitami. „Co dzień — powiada towarzysz tej podróży — król nim na wóz wsiądzie — mszy św. wysłucha“. Zatrzymują się na dwa tygodnie w Dziśnie. Pracuje tu król z wielkiem wytężeniem, a jednak „Jegomość — są słowa pamiętnika — o wschodzie słońca na zając wyjeżdża co dzień“ [5]).

[1]) Źródła, IX, 182. [2]) Tamże. [3]) Tamże, IX, str. 9.
[4]) Tamże, IX, str. 43.
[5]) Dniewnik, wyd. Kojałowicza, str. 18, 21.

Więc cóż dopiero, gdy się wyprawa skończy, gdy z głowy spadną kłopoty i chwila nastanie złotego wczasu, wytchnienia po pracy, spokoju. Wtedy już nie dorywczo, nie ukradkiem, ale z całą swobodą, z zamysłem z góry ułożonym puści się król w knieje i bory, na jeden, dwa, trzy dni, na całe tygodnie. Tak też poluje w Kurlandyi, kiedy w 1582 roku wracał z Rygi do Grodna [1]), tak jesienią tegoż roku przyjmuje udział w wielkich łowach, to u arcybiskupa prymasa pod Łowiczem, to w Błoniu, w Głoskowie i indziej [2]). A jak się dostanie do Grodna albo do Krakowa, jest wtedy już jakby w raju. W Niepołomicach bawi Batory całe niemal lato 1585 r., spędzając je według słów wiarygodnego Heidensteina, na ciągłych łowach. Przybył tam około 28. Marca i pozostał aż do 26. Września, kiedy niekiedy tylko jednodniowe czyniąc wycieczki do Krakowa.

Na dzielnym królu, niestety, nawet sprawdziło się podobno owo Pisma św. orzeczenie: jakim mieczem wojujesz, od takiego zginiesz... Jeden z jego przybocznych lekarzy, Szymon Simonius, który miał Batorego w swej opiece w czasie ostatniej jego choroby, twierdzi, że zbytnia namiętność myśliwska stała się przyczyną jego śmierci [3]). Król polował w okolicach Grodna zapalczywie, nie zważając na ciężką zimę, jaka nawiedziła Polskę już w Listopadzie 1586 roku. Mrozy były silne, wiatry przejmujące, ciągłe zawieruchy. Lekko ubrany, wracał on niekiedy z wyprawy myśliwskiej, przeziębnąwszy do szpiku kości, tak, iż zgrabiałych rąk i nóg nie był w stanie dogrzać od razu nawet przy większym ogniu. W dniu drugim Grudnia — tak opowiada Simonius — puścił się król na polowanie na dziki ze znacznym pocztem dworzan. Był w ich liczbie i lekarz przyboczny. Zatrzymano się w Kudzyniu pod Sokołką, o 5 czy 6 mil odległym od Grodna. Była to ekonomia królewska. Stał tam później na Kudzyńskim folwarku dwór drewniany, który nazywa lustracya z XVIII. wieku bardzo starym. Może tam pod strzechą tego samego dworu nieraz spoczywał nasz myśliwiec. Mimo dolegające cierpienia, które z powodu otwartej rany na nodze trapiły Batorego od kilku dni, puścił się jednak w lasy kudzyńskie. Nazajutrz uczynił to samo, ale trzeciego dnia, a było to 4. Grudnia, przerażony postępami choroby i dolegliwości, wrócił już pod wieczór do Grodna... Wzmogła się później gorączka, zwiększała się stopniowo co dzień. Coraz gorzej, coraz niebezpieczniej, aż tu już 12. Grudnia, jak wiadomo, śmierć, niestety, przedwcześnie przecięła pasmo życia wielkiego króla.

Nie chcemy w tej chwili rozstrzygać tu pytania, które się nie odnosi do naszego przedmiotu, czy istotnie zaziębienie na polowaniu stało się bezpośrednią przyczyną choroby i śmierci Stefana, jak to twierdzi Simonius. Innego bowiem zdania był przeciwnik tegoż doktora, Buccella, drugi lekarz przyboczny Batorego. Dwaj ci lekarze wszczęli po śmierci króla zacięty spór między sobą, wzajemnie zarzucając sobie nieuctwo w rzeczach medycznych, a w skutek tego przyczynienie się do spiesznego zgonu króla. Kto dziś jest w stanie dojść prawdy? Droga do niej bardzo trudna i mozolna. Wysłuchajmy przynajmniej jednak zdania i drugiej strony.

[1]) Źródła, IX, B. 90.
[2]) Tamże, str. 77.
[3]) Refutatio scripti Simonis Simonii Lucensis etc. Cracoviae, 1588, 29 i in.

Buccella dowodzi [1]), że jest nierozsądnem przypuszczać, iżby zbytnia namiętność myśliwska stała się była przyczyną śmierci króla. Owszem, zdaniem jego twierdzić należy, że takie ćwiczenie nic szkodzić nie mogło dzielnej naturze żołnierskiej, bo ciało do tego przywykło już od najwcześniejszej młodości. Myślistwo, wyprawy łowieckie stanowiły nawet, jak mniema tenże doktor, rodzaj lekarstwa dla króla, dla którego ruch na świeżem powietrzu był warunkiem zdrowia. Kiedy tego ruchu nie miał, kiedy dłużej był zmuszony, jak naprzykład podczas sejmu, prowadzić życie siedzące, wtedy doznawał zaraz szkodliwych skutków chwilowej niewoli; skarżył się przeto nieraz w obec licznego zgromadzenia na brak apetytu, na bezsenność, na pewne omdlenie fizyczne i umysłowe. Jak tylko zaś puścił się na łowy — tak utrzymuje Buccella — zaraz i chęć do jedzenia wracała i sen pożądany krzepił w dziwny sposób ciało, oraz duszę.

Nie chcemy tu jako niepowołani, odgrywać roli rozjemcy między dwoma zawziętymi przeciwnikami, jakimi byli przyboczni lekarze Buccella i Simonius, ani chcemy się puszczać na pole etiologii medycznej, dla rozstrzygnienia sporu o przypuszczalnej przyczynie choroby Batorego, więc obojętną dla nas może być na tem miejscu rzeczą, miał-li słuszność jeden — Buccella, czy drugi — Simonius; ale zauważymy tę mianowicie okoliczność, którą zgodnie podają obaj doktorzy, a zwłaszcza, że król namiętnie lubił polowanie, oddawał się zabawom łowieckim całą duszą i polował jeszcze na ośm czy dziesięć dni przed swoim zgonem.

Możnaż więc po tem wszystkiem, co się powiedziało, wątpić o myśliwskiej namiętności Batorego? Cała przeto mozaika nasza, ułożona z drobnych szczegółów, rozprószonych po rejestrach wydatków dworskich, zdaje się mieć tło najzupełniej zgodne z rzeczywistością.

A na zakończenie obrazku kilka jeszcze pociągów pędzla z niebogatej naszej palety.

Jeżeli prawdą jest, a wątpić o tem nie masz zupełnie powodu, co twierdzi Buccella, że król Batory, jako żołnierz od lat najmłodszych ćwiczony, nienawidził zbyt długiego zamknięcia w komnatach zamkowych i wzdychał zawsze do czynnego życia, wyobrazić sobie łatwo, jak dzielny bohater z pod Gdańska, Połocka i Wielkich Łuk witał z rozkoszą tę chwilę, ten dzień, kiedy mógł nareszcie duszne powietrze sejmowej sali, albo ograniczone widoki w mieście, zamienić na balsamiczną woń lasów, lub rozległe widnokręgi na szerokich polach myśliwskich popisów. Choćby tam nawet we śnie słodko marzył o swej sławie, zdobytej pod murami miast warownych, choćby śnił o dalszych zwycięztwach nad Turkiem, sięgając śmiało w przyszłość, pewnie go prędko było w stanie zbudzić „kwilenie“ sokołów. A jak niegdyś tam w Dziśnie, będąc zajęty wielkimi pomysłami, wśród nieustannych zajęć, wśród mniej wygodnej drogi nie lenił się „o wschodzie słońca na zając wyjeżdżać“, tak zaiste i w Grodnie i w Niepołomicach, w Białowieży lub Kudzynie nie dał łowcom o świcie zebranym długo czekać na siebie. Wiedział o tem dobrze król-myśliwiec, że z sokołami najlepiej polować w rannej porze. Nieobcem to było i Ludwikowi XIII., który się jeszcze namiętniej niż nasz król oddawał łowieckim zabawom. Król francuzki, nim się na mszę ranną udał do kaplicy, wprzód odbył o wschodzie słońca polowanie.

Rumiany przedświt wiosenny lub jesienny zapewnie też nieraz oświecał taką czeredę myśliwców, zgromadzonych przed dworem królewskim, gdy miał się Batory ukazać, aby się z całym orszakiem puścić na łowy. W powietrzu rozlegały się wdzięczne głosy grających ptaków, które już swe gniazda o wczesnym ranku porzuciły. Ich świergotanie coraz weselsze przerywają swem kwileniem nadworne rarogi i sokoły. Rżą niecierpliwie konie i psów słychać szczekanie. Już wszystko w pogotowiu. Nadworny łowczy, pan Jan Krzysztoporski, który po Chybickim postąpił na tę godność dworską, zaprowadził wszędzie ład i porządek i pędząc na rączym rumaku, jeszcze po raz ostatni przebiega okiem szeregi myśliwców i łowczych.

Już wszyscy, jak się zdaje, zajęli swe miejsca na szybkich i lekkich koniach. Tam na prawo, jakby na skrzydle wojska, stanął w dziedzińcu zamkowym czy dworskim niewielki oddział sokolników, których sprawia Łukasz Biedrzycki, ptasznik zawołany, wierny sługa królewski [1]). Najprzedniejsza pod jego dowództwem — rzesza ptasia, która się w dziwnym przedstawia nieładzie. Białozory tu i owdzie porozsiadały się na karkach i głowach koni. Ich białośnieżne pierze na czubkach i na szyi odbija jaskrawo od ciemnej maści wroniego rumaka. Wyuczony koń już przywykł do ostrych szponów sokoła, a sokół także się już oswoił z ruchami niespokojnego bieguna. Jedne białozory o stępionym nieco wzroku nie mają na głowie żadnych „czapek“, innym zaś bystrzejszym i lotniejszym powkładano na oczy różnobarwne kapturki. Kto mocniejszy a wytrwalszy, sam trzyma na prawym ręku białozora, który w grubą, skórzaną rękawicę jeźdźca zapuścił swe skrzywione szpony i trzyma się silnie, jakby na gałęzi drzewa, albo na chropowatej skale. Inni znów ptasznicy inaczej sobie unosili sokoła: on siada im na ramieniu, z ramienia w lot się puszcza i zwabiony na ramię powraca.

Między tą liczną czeredą sokolników i ptaszników różna tam gwara panuje. Nim w pole wyruszą, jeszcze każdy coś przemówi to do konia swego, to do sokoła, do towarzysza wreszcie najbliższego. Biedrzycki tam oczywiście sprawia swych podwładnych po polsku, choć z Rusi pochodzi i we Lwowie przystał do służby dworskiej; ale dwaj Niemcy sokolnicy, Ludwik i Szmalder, tak niedawno przyjęci, zapewnie jeszcze w niemieckiej mowie zachęcają do przyszłych popisów swych wychowańców z ptasiego rodu. A są tam w liczbie sokolników i krzeczotnicy z Moskwy; ci po swojemu także gromią lub pieszczą skrzydlatych łowców, których na swym ręku trzymają. Kilku z nich przysłał królowi w darze Iwan Groźny, który miał znakomite białozory, nazywane w jego państwie krzeczotami; kilku sokolników sam król przyjął w Niepołomicach na służbę, bo ci Moskwicini, to sprawni byli ptasznicy.

Na lewem skrzydle myśliwskiego orszaku stanęli nierównież tłumniej sokolnicy niższego rzędu. Na ich rękach, na karkach koni nie widać królewskich białozorów, które stanowią właściwe czoło tego łownego wojska. Ukazują się tylko między nimi w gęstej gromadzie rarogi, dziwoki, jastrzębie, krogulce, których użyją przy sposobności w polu na mniejsze ptactwo. Jest tam w ich liczbie Kalina, który wyrósł i wychował się wśród szumu puszcz litewskich.

[1]) Refutatio scripti, Responsio, str. 10.

[1]) Nazwiska i szczegóły wzięte z rejestrów nadwornych.

jest i Paweł, który jak się do krogulca odezwie, tnie mazura; słychać też głos Mikołaja, który się przechwala, że dawny jego pan, kasztelan międzyrzecki, lotniejsze zwykle miewał sokoły niż sam król Batory.

Nieco głębiej w dziedzińcu po za obu oddziałami ptaszników, na jednem i drugiem skrzydle, uwijają się między niecierpliwymi końmi różnej maści, różnego gatunku psy myśliwe: to rącze charty na sworach, to psy legawe, to wyżły, ogary, popędzce, znalazce. Jedne sprawuje Feliks Nowicki: ma szesnaście chartów na swej sworze, ale sobie rady dać nie potrafi z tą drużyną wiatronogą, więc Matysa sąsiada prosi, aby mu umniejszył kłopotu i ściągnął harapem Śmigę i Obrócicę, które się ciągle ujadają z Karwatem i Szukajem. Inną sworę Sikora prowadzi. Jakób Niemiec, od księcia kurlandzkiego, ogary i wyżły ma pod swoją władzą, a Chwiedor Ignatow Moskwicin, także kupą psów dowodzi. Myśliwczyków i pacholąt ukazują się jeszcze dalej dość liczne szeregi. Za niemi ruszą myśliwskie rydwany. Jołda i Mucha wiozą wielkie sieci łowne. Kitce i Golbie dano wóz ze sprzętami kuchennymi i z żywnością. Jelonek założył konie do pustego wozu, pod przyszłe łupy łowieckiej wyprawy.

Przed zamkiem gankowym w pośrodku myśliwskiego obozu kilka koni osiodłanych rży niecierpliwie w oczekiwaniu swych dzielnych jeźdźców. Dosiadł jednego w tej chwili pan koniuszy nadworny, Kacper Maciejowski. Daje on giermkom znak, aby trzymali w pogotowiu swe rumaki. Jeszcze Szomlai ściągnął popręg pod siodłem królewskiem, Teleki pogłaskał po lśniącej szyi swojego pieszczonego Mustafę; Apoldi, Nagy i inni Węgrzyni, których Batory lubił bardzo do koni używać, zrównali się w szeregu, żeby podawać w porządku bieguny swoim panom, kiedy oto na ganku, promieniejący radością, uśmiechnięty swobodą, król się ukazał.

Dosiadł Batory swego rumaka, może jednego z tych szlachetnych wierzchowców, które niedawno z samej Arabii sprowadził z rozkazu królewskiego pan Jakób Podlodowski, podkoniuszy, co nieszczęsnym wypadkiem był zabity w Turcyi w 1583 roku. Łowczy dał znak, odezwały się trąbki myśliwskie i cała drużyna ruszyła z miejsca ku kniejom niepołomskim, albo w puszczę białowiezką, lub na rozległe równiny mazowieckie może właśnie w tej chwili poranku, którą Cygański choć zwykle tak suchy w swem wierszowaniu, wyjątkowo tak poetycznie opisuje:

„Gdy piękna zorza świat słońcem odziewa,
Wtenczas gdy ptaszek nawdzięczniej spiewa
Radując się, że dzień piękny bieży". [1])

I król także wesoło wita wschodzące słońce, które mu zapowiada niezachmurzoną na dzień cały pogodę. Pierś jego odetchnęła swobodniej i głębiej balsamicznem powietrzem. Radośny okrzyk z niej się wydobył: „Mily gyönyörüség! Mily ö röin. Nem lech szebbet gondolni" [2]). Ale słów tych madziarskich, rodzinnéj mowy Batorego, nie rozumie jeden i drugi z polskich panów, którzy towarzyszą królowi w orszaku. Tylko Zygmunt Forgacz, Majlat, Cathai, którzy pędzą obok na koniach — jego nieodstępni wszędzie towarzysze — podzielają zachwyt króla i półgłosem powtarzają sobie: „Felséges! Csodà latos".

Sokoły głodne rano, wzroku ich jeszcze nie razi blask słońca, niezbyt wyniesionego nad ziemią, więc spodziewać się można, że król ugoni niejednego zająca, niejednego ptaka i zażyje krotofili nie mało.

Już to łup myśliwski od pory roku zależy. Popędzi białozór i za żórawiem, na czaplę się rzuci, przepiórkę i kuropatwę wystraszy, zająca weźmie i za sarną pomknie:

„Z zwierzęty walczę, mam nad wszytki ptaki.
Dank mi ten wszyscy muszą podać taki.
Stłukę zająca by i nawiętszego.
Skosztuj a pewnie doświadczysz się tego".

Twierdzi tak Cygański o rarogu. Więc niech tylko psy legawe wystawią ptaka lub zająca, niech inne spłoszą dropia, łabędzia lub czaplę, a sokolnicy wnet podrzucą do lotu tego lub innego białozora. Jeden z nich w bystrym biegu powietrznym dopędza swej ofiary, już się z nią zrównał, teraz góruje nad nią, za chwilę zabiegnie z przodu drogę, aby jej lot powstrzymać. Daremne wysiłki. Żóraw czy drop mknie jak strzała. Nadlatuje więc w pomoc drugi sokół, puszczony niedawno z rąk myśliwca. Oba nacierają na nieprzyjaciela z boku; ale lotny ptak dobywa sił w obronie życia. Czuje niebezpieczeństwo. Zwinnie rzuca się to w prawo, to w lewo, to znów na dół się spuszcza i myli bystry wzrok swych przeciwników. Dopiero trzeci drapieżnik zabiega drogę. Zaczyna się napad trzech sił skombinowanych. Ptak nie może się oprzeć przemocy. To go skubnie jeden sokół, to go skubnie drugi. Już pierza lecą. Krew się sączy. Omdlony dobywa ostatka sił. Spada na ziemię. W prędkim pędzie nadskakują myśliwcy, aby położyć koniec krwawej walce i wyrwać ze szpon sokolich łowiecką zdobycz.

A jakaż to uciecha, jaka rozkosz dla króla patrzeć na tę ptasią walkę. Co chwila przypomina mu ona pole wojennych zapasów. Ileż i tu odmiennych sposobów nacierania na nieprzyjaciela, odpierania jego ciosów. To cała strategia powietrzna. A ile tu zmyślnych podstępów, forteli, a ztąd ile niespodzianek, ile epizodów ciekawych z tych krwawych o życie lub śmierć zapasach! Zrywa się czapla. Puszcza się sokół za nią i wnet ją wygórował. Już całym ciężarem spuszcza się ku niej, aby ją gwałtownie trącić, lot złamać, na ziemię rzucić. Czapla w oka mgnieniu, niespodziewanie, jak piorun z chmury spadający, z prędkością błyskawicy, przewraca się w powietrzu, nadstawia swój dziób śpiczasty napastnikowi; — sokół nie oczekując tego fortelu, już lotu swego powstrzymać nie może, wpada na ostrze dziobu, przebija siebie i skrwawiony, obezwładniony, całym swym ciężarem rozbija się o ziemię.

A niech jeno psy zająca ruszą, jak się tam za nim w pogoń puszczą sokoły, dopędzą, wezmą jak charty nieboraka w obroty, byle im do lasu nie umknął. A jesienią na ożynkach, kiedy się zerwą kuropatwy, przepiórki, jak tylko spostrzegą, że się uwijają jastrzębie, krogulce, wszystko się to ze strachu pochowa, przytuli. Dość wtedy siecią nakryć, a żywcem całe stadka ułowi.

Jakżeż to wielka musiała być uciecha, kiedy na wystawnem polowaniu królewskiem kazał Batory puścić sokoły na sokoły! Najuciesznięjsze bywały wtedy walki. Rzadziej jednak taka krotofila miewała miejsce, bo białozory były drogie i nie posiadała ich sokolarnia królewska za wiele, aby je puszczać często na pole bratobójczych zapasów.

Z bogatym więc łupem wracał król Stefan z myśliwych swych wycieczek. Bywały oczywiście łowy i na

[1]) Pod wyrazem Ledrouchna.

[2]) Co za rozkosz, jak cudownie! Nie masz nic piękniejszego!

grubszą zwierzynę, na dziki i niedźwiedzie z oszczepem, na żubry z rusznicą:

Żubra psem trudno straszyć, snadniej go z półhacza
Między rogi uderzyć, niechaj się obraca [1]).

W 1581 roku na Litwie, podczas królewskiego polowania srogi Misiek, jak Bielawski nazywa niedźwiednia, mocno chłopka jednego podrapał pazurami. Trzeba było pieniądzmi udobruchać pokrzywdzonego [2]). W 1583 znów roku w Niepołomicach psy tak silnie ucierpiały od rozjuszonego odyńca, że aż całą złotówkę wypadło wydać na leki. Pojmuję, że król potrafił, jak dla swoich wrogów, być także i dla dzikiego zwierza postrachem. Nie darmo w swym herbie, w swym klejnocie rodzinnym, nosił trzy kły wilcze.

Teraz już przeto rozumiem po zebraniu różnych drobnych szczegółów i ułożeniu z nich tej oto mozaiki, że nie było to czcze tylko w ustach poety uwielbienie, który w pochwalnym wierszu po śmierci króla, gdy o niezwykłych jego zaletach mówi:

In templo plus quam sacerdos
In republica plus quam rex...

kończy swoją elogią słowami:

In feris domandis plus quam leo.

czyli więcej niż lwem (był on) w uśmierzaniu dzikiego zwierza [3]).

*
* *

Więcej niż lwem...

I czytelnik gotów może w ujemnem nieco znaczeniu brać to porównanie i wyobrażać sobie Stefana Batorego jakby drugiego jakiego Nemroda. Bynajmniej, król nasz takim groźnym a surowym wcale nie był. Mimo to usposobienie myśliwskie, a może właśnie z powodu tego zamiłowania namiętnego do łowiectwa, odznaczał się on szczególniejszą dla zwierząt w ogóle względnością. Lubił, że nie powiem kochał konie, psy, całą wreszcie rzeszę leśną i skrzydlatą. O koniach, o jego rumakach sprowadzanych z Arabii, z Turcyi i z Andaluzyi, rozpisywać się nie masz tu potrzeby.

Przytoczę tylko, z powodu koni, dosłownie list, który król pisze z nad Newla z obozu, po wzięciu Wielkich Łuk w 1580 roku, do wielkorządcy zamku krakowskiego:

„Urodzony, wiernie nam miły!

Ażechmy przedtem pisali do Wierności Twej, aby te tam konie nasze w dobrem były chowaniu, jednak i teraz powtóre zdało się nam Wierność Twą w tym upomnieć, abyś to tym na lepszej miał pieczy. A przytem chcemy to mieć po Wierności Twej, abyś to opatrzył, żeby każdy koń pokrowcem, trzema abo czterema był nakryty i dobrze opatrzony na drogę, zwłaszcza, żeby żadnego z nich zimno doledz ani uszkodzić nie mogło. Inaczéj Wierność Twa nie czyń dla łaski naszej. Dan i t. d.“ [4])

Drobny to rys wprawdzie, ale tak charakterystycznym, tak nam się zgodnym wydaje z całem tłem usposobienia Stefana. Raz już pisał do wielkorządcy i uważa za stosowne jeszcze raz przypomnieć jego opiece konie. I pamięta o pokrowcach i dba o to, żeby koniom zimno nie było.

A przecież król dał dowody, że umiał i o czem innem tak skutecznie myśleć, nietylko o koniach.

W końcu przytaczam jeszcze jeden rys usposobienia Batorego na dowód, że się prawdziwie kochał i w żywych zwierzętach. Nie zdaje mi się bowiem, iżby to był tylko przygodny wypadek, że za staraniem króla ożywia się i zaludnia królewski zwierzyniec w Krakowie. Istniał już wprawdzie zwierzyniec za ostatnich Jagiellonów, teraz się jednak mnożą żywe okazy piękniejszych zwierząt leśnych.

Już za Zygmunta Augusta wspominają rachunki wydatków dworskich pod rokiem 1569 o dwóch lwach, darowanych królowi przez książęcia lignickiego. Późniejsze o 13 lat rejestra mieszczą w sobie wiadomość o wydatkach na złupienie lwa, czyli zdjęcie z niego skóry. Oczywiście król zwierząt skończył swój żywot. Prawdopodobnie był to jeszcze zygmuntowski. Za Stefana zaś przybyły do zwierzyńca dwa inne okazy. Królowi, bawiącemu w Warszawie w 1582 r., ofiarował książę słucki kilku lwów w darze. Z początkiem następnego roku sprowadzono je do Krakowa, a przywiódł je pod swoją opieką Włoch z Florencyi, Dominik Pepi [1]). Wspominają nadto rejestra o jakichś lwach, które umieszczono w klatkach na zamku rabsztyńskim. Następnie przybyły do Krakowa trzy wielbłądy, na których utrzymanie wyznaczono pewną kwotę pieniędzy. Jakiegoś wielbłąda sprowadził także i Tatar dla króla, ale zostawiono go w Gródku [1]). Nie brakło również i niedźwiedzi w zwierzyńcu krakowskim. Zbudowano nawet dla nich osobne, mocniejsze i trwalsze chlewki. Kiedy je do nowych komórek przepuszczano, zaszedł smutny wypadek, bo „niedźwiedź cieślę obraził“. Trzeba było pieniądzmi wynagrodzić ból pokrzywdzonemu. Sprowadzono jeszcze prócz tego jedną parę niedźwiedzi z pod Tykocina, drogą wodną na jakiejś tratwie, czy wielkiej łodzi i zapłacono za ich przewiezienie 30 złp., czyli tyle, co ówczesnych 120 korcy żyta [3]). Przypuszczam, że król dał także Krakowianom sposobność oglądania żubra z białowiezkiej puszczy, bo jednego kazał sobie Stefan sprowadzić w 1583 roku z Grodna do Warszawy, zapewnie w tym celu, ażeby go dalej ztąd wyprawić [4]).

Pamiętał też król o innych żubrach. Kiedy był w 1582 roku w puszczy jaktorowskiej, dał leśnym hojne poczesne, chyba na to, żeby dobrze królewskich zwierząt pilnowali. Podobnież i w lasach bielskich opatrzył służbę leśną, która żubrów strzegła. Znajdowały się i łosie *(alces)* w puszczy niepołomskiej. Król dał leśnemu poczesnego złotówkę za dobre ich pilnowanie.

Miał Batory także i żywe jelonki i dbał o to, aby je starannie chowano. Kazał umyślnie dla nich wystawić na starostwie warszawskiem komórki [5]). Na Litwie ktoś ofiarował królowi leoparda, czyli rysia, jak objaśnia rejestr wydatków nadwornych.

Ale dość tych szczegółów. Może już za wiele dla niejednego czytelnika, którego znuży drobiazgowość rysunku, zajmowanie się sprawami podrzędnemi. Taka jest jednak istota i natura każdego obrazku rodzajowego. On w ramy swe nie ujmie wizerunku wielkich scen życia politycznego i akcyi wielkich bohaterów, tylko poprzestaje na odwzoro-

---

[1]) Bielawski, Obrót VII.

[2]) Źródła dziejowe, t. IX, B. str. 56.

[3]) Elogium ser. Stephani Magni Poloniae Regis. Pomieszcza tę elegią księga z r. 1588 wydatków na pogrzeb króla. Ten sam wiersz znajduje się w wydaniu królewskiem z roku 1589 kroniki Kromera, w której na czele pomieszczono wizerunek króla Stefana.

[4]) Ks. asygn., nr. 3.

[1]) Źródła dziejowe, t. IX, B., str. 93 — 218. [2]) Tamże, str. 136. [3]) Tamże, str. 83, r. 1583. [4]) Tamże, str. 123. [5]) Tamże, str. 114.

waniu życia potocznego; a to życie powszednie, codzienne ujawnia się właśnie w tych drobnych, nieskończenie licznych sprawach, po za widownią wypadków i zdarzeń historycznych.

Im więcej akcesoryj, tem obrazek barwniejszy. Z lekkich rysów rodzajowego obrazku skorzystać może z czasem malarz dziejopisarz, który zechce kiedyś odtworzyć postać króla na szerokiem tle życia politycznego i społecznego. Im więcej zbierze się szczegółów, które wyjaśnią usposobienie, skłonności, zwyczaje dzielnego Batorego, jednego z największych naszych królów, tem dokładniejszym będzie rysunek jego postaci, tem prawdziwszem oświetlenie, tem barwniejszym koloryt malowidła. Chciałem zebraniem tych rozprószonych tu i ówdzie szczegółów przygotować część farb na palecie przyszłego mistrza. Chęć moja szczera, gorąca, niech braki wystawionego tu obrazku usprawiedliwi. Jestem w tej chwili względem czytelnika w tem samem, co autor „Myśliwstwa Ptaszego“ usposobieniu, iżbym powinien wraz z nim pod koniec swego dziełka powtórzyć:

Nie dziwuj się czytelniku miły,
Iż w tych książkach są częste omyły,

a prosząc o ocenienie pobudek, z jakich ta praca powstała, odezwać się słowy tegoż Cygańskiego, który tak na zakończenie przemawia, choć chropawo, twardo, niekształtnie, jednak szczerze, serdecznie, wzruszająco:

Niechże tedy życzliwość miłuje
Który Polak, a niech nie szacuje
Mnie szlachcica polskiego z prostości.
Bom nie uczynił tego z hardości.
Ale miłość k'memu narodowi
Wytłoczyła to: i dość będę zdrowy,
Gdy chęć odniosę za tę małą pracę,
Czemu nie wątpię, gdy dobrze obaczą.

PSY NEAPOLITAŃSKIE.

Pan A. Pawiński w nader cennej pracy swojej p. t. Stefan Batory jako myśliwiec, żali się, iż pomimo starania nigdzie nie mógł się dowiedzieć o psach neapolitańskich. Ośmielam się rzucić kilka słów w tym przedmiocie, które nie wiem czy dostatecznie rozwiążą tę zagadkę, ale może przyczynią się do rozjaśnienia tej sprawy.

W dawnej Polsce, szczególnie w wiekach średnich, bardzo były poszukiwane dla swych zalet w myśliwstwie brytany rasy neapolitańskiej. Główną cechą psów tej rasy była oprócz wybornego wiatru (węchu) niepospolita zuchwałość w natarciu na zwierzynę zwaną królewską, t. j. na jelenie, niedźwiedzie, tury, których w owych czasach była niemała ilość w ciemnych puszczach leśnych. Niedźwiedzia, dzika, a w końcu wilka osadzić lub na śmierć zadławić, było dla psów tych igraszką. Bo też dużych były rozmiarów, nie nazbyt wysoko na nogach osadzone czyli podkasałe, głowę miały dużą o krótkiej lecz szerokiej trąbie i dużej, ogromnymi zębami, osadzonej paszczy. Uszy miała ta rasa psów niezbyt duże, ale owisłe czyli kłapciaste, toż je krótko przy głowach obcinano, ażeby gamrat (odyniec) kłem, a mysio (niedźwiedź) pazurem o nie nie zawadził. Pozór tych psów przy wypukłych, najczęściej krwią nabiegłych oczach, był straszny. Straszliwymi też były nie tylko dla zwierząt, ale także dla ludzi. Prócz dozorców i łowczego nikt do nich przystąpić nie mógł. Gdy szły na łowy, wiedziono je każdego z osobna na mocnym łańcuchu, na paszcze zakładano żelazne kagańce, które zdejmowano dopiero w chwili podkładania w kniei. Zwykle też, szczególnie w czasie łowów na wilki, zakładano im na szyje obroże, nabijane gęstymi, żelaznymi kolcami. Chroniły one w czasie zapasów z wilkami które w walce z psami chwytają je za kark i dławią. Niemniej wielką zaletą tych psów był wiatr ostry, więc bez pomocy tropowca śledziły zwierzynę w ostępie. Psów tej siły i odwagi używano do łowów w czasach, gdy broni palnej jeszcze nie znano, lub nie używano do celów łowieckich.

W Polsce miewano psy dużych ras, domorosłe włochate kundle, zwane drążkowymi, miewano i zamorskie tak zwane brytany duńskiej rasy, jednakowoż brytany rasy neapolitańskiej zjednały sobie najwięcej wziętości, były wszakże za drogie dla szlachcica choćby kilkowsiowego, mógł je posiadać chyba król lub magnat.

Nie pomnę tytułu ani autora dzieła, z którego wyczytałem, że rasa brytanów neapolitańskich w czasach króla Zygmunta I. zjawić się miała w Polsce. „Twierdzili niektórzy — mówi autor — że królowa Bona pierwszą parę tych psów ze swej ojczyzny neapolitańskiej do Polski sprowadzić miała i ztąd dano im nazwę psów neapolitańskich. Niemniej twierdzono, że uczyniła to nie tyle dla siebie, jakkolwiek chętnie oddawała się myśliwstwu, ile raczej dla syna swego Zygmunta Augusta, którego do tego rodzaju zabaw zaprawić chciała. Wiadomo, że Bona sama wyruszała na łowy, dzirytem godząc w zwierzynę. Tradycya historyczna podaje, że ona polując w olbrzymich borach około grodu Staregomiasta, w miejscu, gdzie obecnie rozlega się miasto Sambor, przez nią założony, własną ręką miała ubić olbrzymiego jelenia. Toż jeleń jest herbem miasta Sambora, założonego w głębi czyli w samym borze, zkąd jego nazwa“. — Niestety, nie mogę podać źródła, z którego przytoczyłem ów ustęp, rzecz sama utkwiła w pamięci, ale nie tytuł dzieła i jego autor, wiem tylko, że dzieło to nie z dzisiejszego było wieku. Prawdą jest zapewne, że jak obyczaje, mody, stroje, sprzęty, nawet naleciałości językowe, tak też i owe brytany z obcych do nas przybyły krajów. Zwano je we Włoszech *cani acuti*, psy zajadłe. Rasa tych psów pochodzić ma ze wschodu, mianowicie z czasów krucyat, walk o wyzwolenie Jerozolimy z rąk tureckich, jak ich w Polsce nazywano, Saracenów. Z upadkiem łowiectwa we Włoszech wyginęła rasa tych psów niemal ze szczętem, lub zmięszawszy się z innemi, nową wydała rasę, która jakkolwiek dawną nazwę nosi, ani kształtem ani przymiotami pierwowzoru nie przypomina. Zresztą z powodu zupełnego braku grubej zwierzyny we Włoszech stała się owa rasa psów niepotrzebną. Obecna rasa mięszańców służy do stróżowania fermów lub jako ozdoba po miastach i pałacach. W pałacu *Monte-viale* sam widziałem takich *cani acuti* sześć, których całem zadaniem swemi ogromnemi cielskami dekorować przedsionki i schody, albo malutkiemu *conte* do ciągnienia kabryoletu służyć, są bowiem łagodne, jak baranki. Jedynie czystą

*

rasę owych psów ma obecnie posiadać król włoski Humbert. Wiktor Emanuel, wielki myśliwy, posiadał je też śród najczystszych ras psów myśliwskich wszelkiego rodzaju. Zamiłowanie do myśliwstwa datuje się od wieków w rodzie królów Sardyńskich.

Przed laty posiadałem dzieło: „Chronik der Welt“, wydawane w zeszytach miesięcznych w Stuttgardzie r. 1828. W nader zajmującym i głęboko naukowym artykule p. t. „Hunde-Mode“ wyczytałem wiele ciekawych i nauczających wiadomości o psich rasach w ogóle. O początku rasy *cani acuti* podawał autor, że Włochy, a najbardziej rzeczypospolite Wenecka i Genueńska, przez swe handlowe i wojenne stosunki ze Wschodem, pierwsze wprowadziły do Europy wiele nieznanych w zimniejszej strefie przedmiotów, jakoteż zwierząt. Przywożono je okrętami jako zdobycze wojenne lub artykuły handlowe. Tym sposobem światowładna niegdyś Roma zaopatrywała się w zbytkowe wytwory Wschodu, niemniej też w lwy, pantery, tygrysy i inne dzikie zwierzęta do cyrków, dla zaspokojenia krwi pożądliwej chuci ludu. Późniejsze wojny krzyżowe dostarczały też Europie wschodnich nabytków. Mieszkańcy miasta włoskiego Amalfi założyli w Palestynie pierwszy chrześciański klasztor pod wezwaniem św. Jana, zkąd nazwali się Joanitami. Zakon ten po latach wielu zmuszony bronić się od częstych napadów niewiernych, zwanych Saracenami, przemienił się w zakon rycerski. Po długich niepomyślnych walkach ustąpili Joanici z Ziemi świętej i założyli r. 1530 na wyspie Malcie, należącej do Rzeczypospolitej Genueńskiej, klasztor, przemieniając oraz nazwę swego zakonu na kawalerów Maltańskich. Z Joanitami przybyła do Europy rasa psów czysto wschodniego pochodzenia. Psów tych używać mieli Arabowie do polowania na lwy, chrześciańscy zaś rycerze wydresowali je do zapasów wojennych. Największe oddawały usługi czatom i placówkom, zdala od obozu postawionym. Samotni rycerze, szczególnie w nocy, bywali wystawieni na częste, niespodziewane napady nieprzyjaciół. Zabijano ich, lub, co gorsze, dla dostania języka, brano w niewolę. Psy owej rasy, bardzo zajadłe i czujne z natury, ułożono do obrony przeciw niespodziewanym napadom na czaty. Układano je tym sposobem: upiętych na mocnych łańcuchach bili i w różny sposób męczyli ciury obozowe, w saraceńskie przebrani stroje, zkąd w psach tych dziwna ku temu narodowi wyradzała się nienawiść. Tym sposobem zaprawiony pies dodawanym bywał czatom samotnie stojącym. Czujny pies zdala wietrzył zbliżających się wrogów, ostrzegał swego towarzysza, a w danym razie wspólnie z nim walczył, wściekle się na nich rzucając. Psy tej rasy, znakomite w Palestynie oddając usługi, w nowej posadzie zakonu, na niewielkiej i początkowo bezludnej, bez wszelkiej zwierzyny, wyspie Malcie, okazały się niepotrzebnymi. Toż je w znacznej części rycerzy w różne strony Włoch rozdarowali. Pomiędzy obdarzonymi był dom Sforzów, udzielnych książąt Medyolańskich i opactwo Monte Cassino. Pierwsi jako pasyonowani myśliwi, używali tych psów do łowów na grubego zwierza, który w czasach owych nawet w owej południowej części Włoch się znajdował. Ojcowie zaś zakonni w Monte Cassino, ponieważ klasztor położony był w głębokich górach i borach, używali psów tej rasy jako stróżów klasztornych od napaści zbójców i drapieżców, tępiących ich trzody. Wszystko z biegiem wieków się zmieniło. Późniejsi władcy tego księstwa zaniechali szlachetnej zabawy łowieckiej i z tego powodu rasa owych psów albo się zwiodła lub zmięszana z krajową zaginęła. Kędy bujne szumiały bory, dziś nagie, od słońca spalone sterczą góry. Opactwo Monte Cassino niegdyś w cieniu boru leżące, ma tylko nagie góry w pobliżu. Zwierz dziki wyginął ze szczętem, *cani acuti* stały się niepotrzebnymi, więc ich tam niema. Jedynem miejscem, gdzie do tej pory zachowano rasę owych psów wschodniego pochodzenia, lubo z przyczyny różności klimatu znacznie odmiennego włosa, był dwór króla Wiktora Emanuela, który prócz tych psów wiele innych myśliwskich różnorodnej rasy następcy swemu Humbertowi pozostawił. Ten, jakkolwiek mniej zamiłowany w myśliwstwie, z równem pielęgnuje je staraniem.

Psy tej rasy, prócz w psiarniach króla włoskiego, wyginęły w całej Europie. Nie posiadają ich nawet tacy myśliwi, jak cesarz austryacki, ani też cesarz niemiecki, który sam jeden w świecie ma jeszcze rasę ogarów, zwanych psami św. Huberta, potomków w prostej linii owych psów, które towarzyszyły w łowach temu patronowi myśliwstwa. Dokładniejszy opis psów tej rasy zostawiam sobie na później, teraz zaś powracam do rasy psów, w dawnej Polsce neapolitańskimi zwanych.

Autor owego dzieła, którego tytułu niestety nie pamiętam, twierdzi stanowczo, że królowa Bona z domu Sforzów, pierwszą rasę owych psów do Polski sprowadziła. Niema powodu wątpić o prawdziwości tego twierdzenia, gdy się uwzględni to, cośmy wyżej wyrzekli. Takim też sposobem dostała się do Włoch owa rasa psów afrykańskich, wielkiej zajadłości, płowego, szorstkiego, jak wszystkie niemal psy wschodnich ras, włosa. Zetknięcie z sobą narodów, szczególnie wojenne, przymnażały im różnych obcych nabytków. Polska miała je także w postaci koni rasy tureckiej, z której po zmięszaniu jej z rasą krajową, powstała owa słynna, dziś już nie istniejąca, rasa polskich koni. I po Tatarach, buszujących niegdyś po Polsce, pozostały konie nikłej, brzydkiej rasy, o ciężkiem uchu czyli kłapouche. Konie te, po zmięszaniu krwi, dziś jeszcze, osobliwie w tak zwanych szlacheckich stadach, odznaczają się wielką głową, małemi oczami i ciężkiem uchem. Drugim od Tatarów nabytkiem są charty odrębnej rasy, które w części Kozacy zaporoscy, w części zaś Tatarzy krymscy w Polsce pozostawili.

Czysta rasa psów neapolitańskich, wyginęła prawdopodobnie rychło w Polsce, nic bowiem o nich dawne kroniki, o ile one myśliwstwem się zajmują, nie wspominają. Zapewne zimny nasz klimat je wytępił, lub też pod względem barwy włosa, a w części i kształtów, przeobraził i chyba w rasach obecnych brytanów, lub nawet dużych kundysów, śladu pierwotnej rasy wschodniej upatrywać należy. Nie posiadamy dokładnych wizerunków psów owej rasy, nie możemy przeto porównać podobiznę, choćby częściową, potomków z praojcami. Że owe psy neapolitańskie istotnie w Polsce były, świadczą wzmianki niektórych kronikarzy, oraz tradycya, nosząca na sobie cechę dziejową. Były one i znikły tak jak inne zwierzęta łowne: suhak, koziorożec, tur, dziki koń, zwany litewskim. Nie wiele o tych zwierzętach dawni nasi historycy i naturaliści pisali, skąpe te wiadomości dorywczo z różnych starych dzieł czerpać trzeba. Mozolna to praca. Mam zamiar podjąć ją, skreślić kilka słów o zwierzętach łownych, zaginionych w Polsce i Europie i umieścić je na względny pożytek czytelników „Łowca“.

A. Ubysz.

ANKIETA ŁOWIECKA.

Jak zapewne Szanownym Czytelnikom „Łowca“ wiadomem, zwołał Wydział krajowy, zamierzając Sejmowi przedłożyć projekt ustawy łowieckiej, ankietę, złożoną [1]) tak z posłów na Sejm, jak z ludzi, którzyby w Sejmie nie mieli sposobności wyrazić swego zdania, a są obeznani ze sprawami łowiectwa i warunkami, wśród których rozwija się u nas ten dział gospodarstwa krajowego. Ankieta ta zebrała się w dniach 9. i 10. Lipca i powzięła cały szereg uchwał, z któremi zamierzamy w krótkości zapoznać Czytelników. Zanim jednak do tego przystąpimy, musimy choćby kilku słowy napomknąć z jednej strony o celu, czyli zadaniu ankiety, z drugiej o podstawie, substracie jej obrad, jakiego dostarczył jej Wydział krajowy. Otóż co do pierwszego, to wystarczy powiedzieć, że ankieta miała za zadanie, opierając się na znajomości stosunków krajowych, roztrząsnąć w drodze dyskusyi główne zasady, które, zdaniem jej, powinny znaleźć wyraz w przyszłej ustawie, tak, by ona znów odpowiedziała swemu celowi, t. j. unormowała stosunki prawne w dziedzinie naszego łowiectwa i tem samem podniosła je ekonomicznie. Ani Wydział krajowy, ani nikt z członków ankiety nie pojmował inaczej jej zadania; nie myślał pewno, że ankieta ma ułożyć samą ustawę lub jej nawet projekt, boć ułożenie projektu takiego zastrzegł sobie Wydział krajowy, mając w nim tylko „uwzględnić“ zasady, przyjęte przez ankietę.

Co do kwestyi drugiej, podstawy, substratu dostarczonego przez Wydział krajowy ankiecie do jej obrad, stwierdzić musimy, że nie liczono się w nim z tym powyżej określonym celem i zadaniem ankiety. Substratem tym był kwestyonaryusz, ułożony przez p. Alberta Wilczyńskiego. Elaborat ten dokonany sumiennie i pracowicie, obejmuje w 7 rozdziałach a 48 pytaniach (nie licząc pytań podrzędnych i „uwag“), cały kompletny projekt ustawy łowieckiej, oparty na wzorach ustaw wszelkich prawie państw i krajów Europy, projekt wyczerpujący rzecz aż do drobiazgowości, a posiekany na pytania, które dotycząc różnych zasad, omawianych na wzór ustaw, które autor miał przed oczami w różnych miejscach projektu, nie dozwalają zebrać razem pytań odnoszących się do jednej zasady, która ma lub nie ma być przeprowadzoną w ustawie, ale rozbijają je, przez co utrudniają pogląd na przedmiot, gmatwają i plączą dyskusyę, powodując ciągłe rekapitulacye już omówionych i zasadniczo rozstrzygniętych kwestyj.

Tak więc podstawa obrad ankiety stała w sprzeczności z jej zadaniem, bo odpowiedzenie na kwestyonaryusz daje zupełny już projekt ustawy, do czego ankieta wcale powołaną nie była i tem już utrudniała ankiecie osiągnięcie jej właściwego zadania, a powtóre formą swą nie ułatwiała wcale obrad ankiety, czyli innemi słowy, chybiła w znacznej części swego celu. Te okoliczności mając na uwadze, należy osądzać skromny rezultat obrad ankiety, rezultat tem skromniejszy, że niezupełny, gdyż nie ukończywszy swych obrad (załatwiono tylko 4 rozdziały kwestyonaryusza, t. j. 28 pytań), odroczyła się ankieta.

Co się tyczy prawa polowania, powzięła ankieta uchwałę, że prawo własności polowania przysługuje jedynie właścicielowi gruntu, z tem ograniczeniem, że grunt ten ma tworzyć pewien minimalny obszar (115 hektarów = 200 morgów), jeżeli właściciel jego ma wykonywać prawo polowania samoistnie. Nadto oświadczyła się ankieta za dalszem ograniczeniem właściciela polowania, postanawiając, że nowa ustawa powinna domagać się od niego pewnej kwalifikacyi fachowej, o której ma rozstrzygać komisya w każdym powiecie ustanowić się mająca, złożona z przedstawiciela c. k. Starostwa, wydziału Rady pow. i Wydziału krajowego. Instrukcyę dla takich komisyj ma wypracować Wydział krajowy, w porozumieniu z c. k. Namiestnictwem.

Obszary mniejsze niż 115 hektarów nie dają wedle uchwały ankiety właścicielom swym prawa samoistnego wykonywania prawa polowania. Właścicielom takich obszarów nie wolno też — chociażby grunta ich się stykały — łączyć się w okręgi łowieckie. Tak im, jak i gminom wolno jedynie wydzierżawiać swe grunta jednemu dzierżawcy, który musi posiadać wspomnianą wyżej kwalifikacyę fachową, grunta zaś wydzierżawione muszą tworzyć terytoryalnie jeden kompleks, wynoszący minimum 115 hektarów. Dzierżawy te mają się rozpoczynać z dniem 1. Marca, a kończyć z dniem ostatniego Lutego. Co do terminu dzierżaw gminnych polowań, to ma obowiązywać ustawa krajowa z 17. Stycznia 1887 (dotąd nie sankcyonowana) i wydzierżawianie tych polowań ma się odbywać w biurach Wydziałów powiatowych, nie zaś w urzędach gminnych. W sprawach wydzierżawiania prawa polowania na gruntach małej własności i gminnych mają mieć udział powiatowe władze polityczne i im też ma być, zdaniem ankiety, przyznaną kompetencya do roztrząsania sporów, wynikłych z takich dzierżaw.

Kontrakty dzierżawne polowania na gruntach prywatnych mają być wolne od wszelkich więzów ustawy (w myśl §. 7 et sq. rozp. minist. z dnia 15. Grudnia 1852), a czynsz dzierżawny z polowania ma się dzielić pomiędzy poszczególnych właścicieli, w stosunku do obszaru ich gruntów.

Załatwiwszy te kwestye, przystąpiła ankieta do określenia przedmiotu polowania, a orzekłszy, że właścicielowi polowania przysługuje w obec wszelkiej zwierzyny łownej własność polowania, przyjęła podział zwierzyny łownej na „użytkową“ i „szkodliwą“, wliczając do tej ostatniej kategoryi: niedźwiedzie, wilki, dzikie koty, rysie, króliki, kuny, tchórze, łasice, wydry i dzikie świnie, a wyłączając z niej lisy, co do których ma być pozostawione osądzeniu uprawnionego, czy należy je tępić jako szkodliwe, czy nie. Z ptactwa uznano za szkodliwe: orły, sępy, jastrzębie, puhacze, kruki i sroki.

Co do nasuwającej się kwestyi ochrony zwierzyny użytkowej postanowiła ankieta, że mają być utrzymane

---

[1]) W skład ankiety wchodzili panowie: Bereźnicki Teofil, członek Wydziału krajowego i przewodniczący ankiety; Brajer Jan, delegat Towarzystwa Kółek rolniczych; Sielecki Artur, delegat tegoż Tow.; Gniewosz Stanisław, poseł na Sejm kraj.; Homolacz St., delegat Tow. gospod. krak.; Dr. Kratter Ferdynand, delegat Tow. łow.; Romańczuk Julian, poseł na Sejm kraj.; Wodzicki hr. Antoni, delegat Tow. gosp. krak.; Simon Edward, delegat Tow. łowieckiego i Albert Wilczyński, adjunkt Wydz. kraj., jako sekretarz ankiety. Panowie: JE. Wł. hr. Dzieduszycki, Tad. hr. Dzieduszycki i Wład. ks. Sapieha usprawiedliwili swą nieobecność.

w swej mocy przepisy dotąd obowiązujących ustaw (ust. z r. 1875), z wyjątkiem niektórych postanowień dotyczących czasu, w którym polowanie na nią jest wzbronionem. Czas ten ochrony ustanowiono jak następuje, zachowując co do rodzajów zwierzyny poniżej nie wymienionej dotąd obowiązujące przepisy:

Dla jelenia od 1. Listopada do 1. Sierpnia.

Dla kozła od 1. Marca do 1. Czerwca.

Dla zająca od 1. Lutego do 30. Września.

Nadto dla ptactwa:

Dla przepiórek od 1. Listopada do 15. Sierpnia.

Dla kuropatw od 1. Stycznia do 15. Sierpnia.

Dalej uchwaliła ankieta, chcąc osiągnąć rzeczywiste przestrzeganie tych terminów, że zwierzyna na targu i w restauracyach podawana, po upływie 14 dni od rozpoczęcia się czasu jej ochrony, ma ulegać konfiskacie, a sprzedający ją surowej karze. W tym samym celu postanowiono, iż sprzedający zwierzynę na targu powinien się przed władzą targ nadzorującą wylegitymować, zkąd zwierzynę tę nabył. Ochronę też zwierzyny mają na oku postanowienia co do „postępowania względem wolno wałęsających się psów i kotów", jak się wyraża kwestyonaryusz: Ankieta pozwala z nimi „postępować" dosyć doraźnie: psy bez kołków u szyi napotkane na terytoryum polowania mają być „bezwzględnie" strzelane, co do kotów zaś postanowiono, że wolno jest strzelać je w odległości 70 metrów od obejścia.

Z kolei wzięto pod obrady sprawę tępienia dziczyzny szkodliwej i postanowiono, że każdemu wolno na swym gruncie tępić zwierzynę szkodliwą, a specyalnie co do tępienia dzika zgodzono się, iż starostwo będzie mogło udzielać pozwolenia na używanie broni celem tępienia dzików, w czasie od 1. Lipca do 1. Października, uwiadamiając jednak o tem właściciela polowania. Tenże ma być obowiązanym wypłacić każdemu, kto na gruncie jego zabije dzika i jemu go odstawi, kwotę 3 złr. (jeśli dzik był duży), a 2 złr. za warchlaka. Władza dalej ma mieć, zdaniem ankiety, prawo wzywania do tępienia dziczyzny szkodliwej, zarządzania obław, a jeżeli o to prosi sama ludność interesowana, tedy obowiązaną jest ta ludność dostarczyć nagonki bezpłatnie. Ubita podczas takich obław zwierzyna ma być własnością właściciela polowania, który jednak ma opłacić „strzałowe". Nadto uchwalono w zasadzie wyznaczać pewne premie za niszczenie szkodliwej dziczyzny, na które fundusze miałyby się zebrać z grzywien i kar łowieckich, z datków asygnowanych przez Wydziały powiatowe i kraj. Nagrody te proponuje ankieta w następujących kwotach: za ubicie niedźwiedzia 10 zł., wilka 4 zł., rysia 5 zł., wydry 4 zł., żbika 3 zł., kuny 2 zł., tchórza 1 zł., orła 50 ct., sępa 50 ct., puhacza 50 ct.

Na tem odroczono obrady ankiety aż do jesieni.

KORESPONDENCYE.

Lwów.

Woła Wrzesień: gazdy! jesień!
Siać! Czyście niezdary?
I myśliwy nieleniwy
Ruszaj w las z ogary!

albo:

Na świętego Michała
Trąbka u nas zagrała,
Ku Piekiełku [1]) z Liwocza
Ciągnie drużba ochocza,
Z „Samborskiego" tam górki
Rżną aż miło dwururki,
W ruchu cała Błażkowa,
Kaniec, Klecie, Kluczowa.
„Trafisz" z „Śpiewką" na przedzie
Na zającu już jedzie.
„A jaj! pilnuj!" pal Janie!"
I ucięło psów granie,
A tam z góry wierzchołka
Zając dał w dół koziołka!

Obie podane przypowieści znane w górach jasielskich i sądeckich, bo w górskich okolicach kraju naszego, szczególnie dawniej, nie prędzej jak z początkiem Września rozpoczynano siew żyta ozimego, a łowy z św. Michałem (29. Września). Na równinach inne pod tym względem bywały zwyczaje, wraz z siejbą żyta ozimego poczynano łowy z dniem św. Bartłomieja (24. Sierpnia) według przypowieści:

Na św. Bartłomieja
Żytka na bezrok nadzieja;
Po raz pierwszy jęknie knieja!

Charciarze na ogołoconych już polach wyruszali na łowy, niepomni, że w tym miesiącu często jeszcze spotkać można kotną zajęczycę. Myśliwi kniejowi byli w tej mierze rozważniejsi, rozpoczynając łowy w dzień św. Zacharyasza (6. Września), mawiając:

Niech Zacharyasz stary
W las puści ogary.

Wszystko to odgrzewane rzeczy, powie czytelnik; przyznaję, staroświeckie to, więc w kąt z niemi, dziś ustawy łowieckie górą, a gdy je przekroczysz, da ci pan delegat „fernempiksum".

A no jesień! Myśliwy, jak dobry żołnierz, powinien opatrzyć sprzęt swój wszelki. A psy gończe? Tych użyje tylko ten, który z powodu położenia swej kniei zmuszony jest „*antiquo modo*" polować z nimi. Z gończymi też należy poczynić wstępne experymentacye, zwłaszcza, gdy w czasie folgi łowieckiej na uwięzi lub w psiarni były trzymane, bo objawia się u nich pewne „zależenie pola" pod różnemi postaciami. Głównym objawem bywa przytępienie wiatru, wymagające nieraz dłuższego czasu, iżby pies do normalnego powrócił stanu. Najlepszem na to lekarstwem jest niezawodnie wycieczka w las, czyli po łowiecku: „w pole". Jużci w ryzach psa trzymać trzeba, aby nie stał się, jak dawniej mawiano: „postroną", czyli goniącym na własną rękę, porzuciwszy złaję, lub wcale kłusownikiem, wykradającym się w las i łowiącym zwierzynę. W celu przywrócenia wiatru, używali dawni, wytrawni myśliwi środków przeczyszczających: emetyku, aloesu, siarki lub też prochu strzelniczego, który wywołuje wymioty. Nosy smarowano olejkiem anyżowym, rozmarynowym lub lewandowym. Aromat anyżu miał psy leczyć z kataru, a objawia się ów katar u psa nosem gorącym, „popadanym", czyli popękanym, wtedy smarowanie jakąkolwiek tłustością, byle nie słoną i gryzącą, lub zabójczą naftą, leczy psa z kataru,

[1]) Góra gęstą porośnięta leszczyną w górach liwockich, słynnych z mnogości zajęcy.

który mu odejmuje wiatr. Przed wyruszeniem w pole zmieniano też tryb żywienia psów. Niektórzy, szczególnie posiadacze licznej psiarni, karmili ogary przed rozpoczęciem łowów surowem mięsem, którego używano z jakiegokolwiek zwierzęcia, choćby padłego, byle nie na chorobę zaraźliwą, ale nigdy mięsem świn, które dla psów, nawet najżarłoczniejszych, jest wstrętnem. Od mięsa świńskiego dostają psy wymiotów silnych, które je mocno osłabiają. Pies żre takie mięso, nigdy jednak świeże, lecz tylko w rozkładzie, odurza się niem, zatacza się, oczy mu zakisają, co jest oznaką kongestyi do głowy. Nawet wilk, chyba najsroższym głodem zmuszony, chwyta się świni lub dzika. Ukraińcy i Podolacy rozróżniają dwa rodzaje wilków, zwąc jednych kobylarzami, a drugich świniarzami lub „kabannikami“, żywiącymi się wyłącznie świniną. Nie przyznaję słuszności tej klasyfikacyi, lecz o tem później kiedyś obszerniej mówić będę. Najlepszem, najtańszem i najzdrowszem mięsem surowem dla psów jest konina, byle nie w nadmiernej ilości.

Starzy myśliwi innych jeszcze używali środków, pobudzających wiatr i zapał psów. Nie tylko psom młodym w pierwszem polu, pozwalali w celu zachęcenia do zapalczywego gonienia pożreć pierwszego gonionego zająca, ale także psom starym, dowodnym, nie broniono przy każdem rozpoczęciu łowów tego przysmaku. Anglicy przy swoich polowaniach „z beaglami“ trzymają się stanowczo tej zasady. Na polowaniu z tymi psami nie idzie o mięso lub skórę spolowanego zwierza, lecz o gon psów, rączość koni i przesadzanie karkołomnych przeszkód Zwierzę złowione idzie w całości na pastwę biglów, a całą zdobyczą łowców jest omyk zajęczy lub kita lisia. Opisać się nie da, z jak dzikim zapałem szarpie zgraja tych niewielkich psów swoją ofiarę. To pobudza ich żarliwość, więc i u ogarów ten środek jest nader skutecznym.

Zbyt zapasiony pies do jakichkolwiek łowów używany, staje się niepożytecznym, traci wiatr i leniwieje. Trzeba go do łowów przysposobić, głównie wychudzeniem i zmianą pożywienia. Ludy głębokiej północy, jak n. p. Kamczadale, Samojedzi i inne, u których szczególnie w zimie łowiectwo jest głównym środkiem utrzymania życia, tak postępują z swymi psami: Na wiosnę, skoro stają śniegi, powodują one wystąpienie wód z łożysk rzeki. Z tej przyczyny tworzy się na powierzchni stałego lądu mnóstwo jezior pełnych ryb. Mieszkaniec jurtu puszcza na wolność psy, swych zimowych towarzyszów i pomocników w łowiectwie, których często miewa kilkanaście, bo one stają się dla niego w ciepłej porze nieużytecznymi i same o żer dla siebie się troszczą. Trwa to wyzwolenie aż do pierwszych śniegów. Dla psów, połączonych częstokroć w wielkie bandy, jest ów objaw zbliżania się srogiej zimy wskazówką powrotu do rodzinnej jurty. Wracają wypasione aż nadto pośniętemi (zdechłemi) rybami, pozostałemi na lądzie po ustąpieniu i wyschnięciu mnóstwa jezior. Właściciel ich pragnąc im ująć zbytecznej tuszy, wrzuca je do głębokiego i ciemnego dołu i karmi skąpo rybą soloną. Prócz tego przedsiębierze na ich ciałach operacyę, nacinając piętki przednich i tylnych nóg ostrym nożem. Według zdania owych myśliwych przyczynia się to do rychlejszego wychudzenia psów i do zgrubienia skóry podeszwowej, co niezbędnie jest potrzebne jako ochrona na chropowatej powłoce jezior i rzek, oraz na zaskorupiałym śniegu. Po takiej dwutygodniowej klauzurze wydobywają psy z dołów i wtedy są one zupełnie do łowów przysposobione. W czasie polowania służą psom jako żer wnętrzności ułowionej zwierzyny i ryby najpośledniejszego gatunku.

Kto dziś jeszcze poluje z ogarami i chce, iżby one prawdziwie użytecznie pełniły swe funkcye, niech dla próby użyje tych dawnych środków przysposobiania ich do łowów, niech użyje emetyku, ziela „kopytnik“ miałko utartego (pół łyżki stołowej w mleku), który skutecznie sprowadza wymioty. Aloes działa wypróżniająco. Za karmę najodpowiedniej użyć mięsa końskiego lub bydlęcego. Nawet przy nosaciźnie lub chorobie psiej u młodych psów surowe mięso służy jako lekarstwo. Dawnymi laty zmuszano psy do spożywania guślarskich dekoktów, sporządzanych z pewnych ziół, mających zaostrzać wiatr i pobudzać zapał, czyli jak mawiano gorącość w gonieniu, o tych nie wspominam, nie mają one bowiem racyonalnego znaczenia. *A.*

KRONIKA.

Dolina dnia 20. Sierpnia 1887.

Wielu bardzo z czytelników „Łowca“ jest pewnie tego zdania, że w naszej okolicy znajduje się obfitość wszelkiej zwierzyny, że my tu w górach używamy przyjemności różnorodnego polowania w całej pełni i ze świetnym rezultatem. Być może, że tak gdzieindziej w górach, — dla nas jest to czysta ironia, bo w najbliższej okolicy Doliny zwierzostan jest tak nieznaczny, ba nawet nędzny, kłusownictwo tak rozwinięte, a prawdziwych myśliwych tak mało, że rzeczywiście raczej zapłakać by nad nami należało, niźli nam zazdrościć. Prawo polowania w Dolinie, wydzierżawione niby myśliwskiemu Towarzystwu, złożonemu z mieszczan dolińskich, znajduje się w jak najgorszych rękach. Dlaczego, w przyszłej korespondencyi szerzej udowodnię, na razie tylko zaznaczam, że gospodarka tego Towarzystwa wydała już teraz takie skutki, że sarny niepodobna, a zająca trudno znaleść około Doliny, na obszarze około 1.500 morgów, psy zaś wyłapują cietrzewie jeszcze młodemi kurczętami; kuropatw prawda trochę jeszcze pozostało, ale te zawdzięczają swe zdrowie nieco szybszemu lotowi, trudności znalezienia ich w krzakach, a głównie mniejszej wydatności pod względem mięsa. Kłusownicy są u nas tak zorganizowani, iż im tylko statutów i regulaminu brakuje — i żyją oni tu jak nigdzie na świecie. Bywały wypadki, że w lasach kamery u leśn. p. Kor. polowali w biały dzień kłusownicy z naganką i brali po kilka miotów. Smutny to stan, tem smutniejszy, że cierpianym jest w mieście powiatowem, a zwłaszcza, że ubezwładnia u ludzi dobrej woli i rozumnych myśliwych chęci zaszanowania nieco zwierzyny.

Cóż na to pan delegat galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego? nie wiemy. Cóż na to p. c. k. Starosta w Dolinie? nie wiemy — to tylko wiemy, że jest bardzo źle pod względem łowiectwa — bo c. k. Namiestnictwo daleko, a Pan Bóg wysoko. *L. G. D.*

Dolina w Sierpniu 1887.

Jakkolwiek Szan. Redakcya „Łowca“ z wielką gotowością notuje każde nowo powstałe Towarzystwo myśliwskie, to jednak, przyznajemy z naszej winy, nie było dotąd wzmianki o „Towarzystwie myśliwskim w Dolinie“, nie mającem nic wspólnego z miejscowem „Towarzystwem myśliwskiem mieszczańskiem“. Obecnie przesyłamy Szanownej Redakcyi kilka dat dla umieszczenia w łamach „Łowca“, jak i dla kalendarza łowieckiego na rok 1888. Towarzystwo nasze istnieje już od lat kilku, na podstawie statutu, zatwierdzonego przez c. k. Namiestnictwo. W roku ubiegłym pod zarządem p. Bronisława Gumińskiego, c. k. notaryusza w Dolinie i Włodzimirza Janickiego, c. k. adjunkta sądowego. Członków liczy Towarzystwo 16, obowiązanych do płacenia po 10 zł. rocznie, rozporządzamy zatem funduszem 160 zł., co razem z opłatą strzałowego daje 200 zł. rocznie. Rewiry Towarzystwa są następujące: Jaworów, Sołuków, Jakóbów, Grabów, Turza mała, Nowosielica, Tiapcze, Kniaziołuka, Nadziejów. Mimo usilnych starań, mimo bardzo oszczędnego polowania, nie możemy się pochlubić świetnym zwierzostanem. Sarn bardzo mamy mało, jedynie tylko w Jaworowie i Nowosielicy, podobnie nie wiele zajęcy, za to kuropatw dosyć się pokazuje. Przyczyną

tego, że nasze usiłowania idą na marne, jest nader rozwielmożnione kłusownictwo, a głównie polowanie z gończakami przez członków Towarzystwa myśliwskiego mieszczańskiego. Towarzystwo nasze składa się wyłącznie z urzędników, zamieszkałych w Dolinie, a prócz tego należą doń pp. zarządcy lasów kameralnych z Rachinia, Mizunia i Turzy. Po ukończonym sezonie myśliwskim nieomieszkamy przysłać Szan. Redakcyi rezultatów ubitej zwierzyny na tegorocznych naszych polowaniach. *J.*

Gazeta illustr. Lipska donosi o dowcipnym sposobie łowienia ryb przez jakiegoś farmera w Ameryce. Farmer ten przywiązuje swojskim gęsiom do nóg wędki z przynętą. Gęsi płynąc po wodach wloką za sobą haczyki z przynętą, skoro ryba się ułowi, zmusza targaniem wędki gęś do wstąpienia na ląd, gdzie dowcipny Yankes uwalnia ją od złowionej ryby.

W Kwietniu urządzili książę B. A. Wasilczykow, W. W. Koczubej i hr. S. A. Uwarow w gubernii Ołonieckiej wielkie polowanie na niedźwiedzie, dokąd w tym jedynie celu z Petersburga się udali. Polowanie trwało pięć dni i uwieńczone było bogatą zdobyczą. Dwanaście dużych niedźwiedzi ubito, a pięć młodych złowiono żywcem. *Leschmann.*

Z Tatrów. Przyjaciel mój R. zawiadomił mnie w Wrześniu przeszłego roku, że zamierza urządzić obławę na dziki i zaprosił mnie uprzejmie na nią. Przed pięciu jeszcze laty nie było tu ani śladu dzików, z tem większą radością przyjąłem to zaproszenie. Przybywszy nazajutrz o godzinie siódmej rano na miejsce zboru, z zadowoleniem zastałem 12 towarzyszów myśliwskich, pięciu gajowych i około stu słowackich naganiaczów, mieszkańców wsi, której pola ziemniaczane dotkliwie przez dziki były spustoszone, byli przeto silnie przekonani, że wreszcie dla tych zbrodniarzów wybiła ostatnia godzina. Przyjaciel R. przemówił gorąco do nagonki i szybko rozpoczęło się wykonywanie ułożonego planu polowania. W pierwszym miocie już zabito dwa duże odyńce, więc nie małą była radość, szczególnie słowacy objawiali wielkie zadowolenie. Zarządzono drugi miot. Ubiegło może pół godziny gdy na 40 niespełna kroków od mego stanowiska przeszedł rogaczyk bez strzału z powodu grubej gąszczy. Wnet potem usłyszeli myśliwi wielką wrzawę nagonki. Zadudniała ziemia, strzeliłem i miałem uciechę położenia wspaniałego rogacza. Nierozważnie zdjąłem kartuzę i zawiesiłem ją na gałęzi, rogacza dokłułem i stanąłem spokojnie. Już nagonka zbliżyła się może na 2.000 kroków do stanowisk myśliwskich, gdy mój sąsiad zawołał ku mnie: „Niedźwiedź w miocie“! I wnet ledwie na sto kroków widzę prosto na mnie idącego ogromnego niedźwiedzia, który w chwili złożenia się spostrzegł mnie i na 15 kroków odemnie z fukiem odskoczył. Strzeliłem z lewej lufy mej strzelby. W tejże chwili otrzymałem bardzo wymowną odpowiedź. Mech, ziemia, drobne gałązki jodłowe obsypały mnie w koło, las zadrżał od ryku wściekłości i boleści w bezpośredniem pobliżu walącego się, śmiertelnie ugodzonego potworu. Nie odważyłem się z powodu odsłoniętego miejsca poskoczyć ku kartuzie, o 20 kroków odemnie zawieszonej, więc bezbronny musiałem się przypatrywać przerażającemu widowisku. Po kilku minutach uspokoił się potwór i chwiejnie potoczył się w gąszcz. Odetchnąłem, niebezpieczeństwo przeminęło. Nazajutrz znaleziono niedźwiedzia o 20 kroków od postrzału nieżywego. Uszanowanie i wdzięczność dla nas urosły znacznie u naganiaczów, nietylko bowiem poskromiliśmy szkodników w polu, ale też jednego groźnego napastnika trzód.

Felka 6. Maja 1887. *Rudolf Danhauser.*

Licznie dawniej w Północnej Ameryce i w całej Europie rozmnożony bóbr *(castor fiber)* stał się wszędzie rzadkim, a nawet w Rosyi, owym kraju błogosławionym dla wszelkiej zwierzyny, bliskim jest zupełnego niemal wygubienia Dosyć duży exemplarz złowiono niedawno w Czernobylu nad Dnieprem. Jestto niezawodnie jeden z potomków w czterdziestce naszego stulecia licznych jeszcze około Kijowa bobrów. Wraz z trzebieniem lasów i rozwojem żeglugi na Dnieprze bobry ustąpiły. Nader tylko rzadko zdarzy się pozyskać jaki exemplarz. *(Jagdzeitung).*

O pożytku kuropatwy donoszą Towarzystwu ornitologicznemu w Wiedniu: W moich wycieczkach do Czech miałem sposobność poczynić rozmaite spostrzeżenia, z których szczególnie pożytek kuropatwy pod względem rolniczo - gospodarskim i myśliwskim podnieść należy. Wiele gospodarzy, osobliwie chłopów, nie domyśla się nawet pożyteczności kuropatwy dla rolnictwa. Niewybredna w potrzebach utrzymania swego bytu, wytrwała na wpływ zmiany powietrza, obdarzona niezwykłą zdolnością rozmnażania się, w lecie i w zimie wierna towarzyszka rolnika, zajęta jest nieustannie tępieniem szkodliwych rolnictwu gąsienic, robaków, owadów i nasienia chwastów; te stanowią najulubieńsze jej pożywienie. Co kuropatwa z ziarn zbożowych wybierze, o tem wspomnieć nie warto i to wcale na szali z pożytkiem jej położone być nie może. Prócz owych korzyści z kuropatwy, stanowi ona smaczny i pożywny pokarm dla wszystkich warstw społecznych. Przeciw takiemu w podwójnym względzie pożytecznemu ptactwu wypowiadają wojnę pseudomyśliwi, a szczególnie wiejscy dzierżawcy polowań, jakoteż bezmyślni strzelacze, bez względu na porę ochronną, podczas gdy raczej należałoby je, własnego strzegąc interesu, hodować i na każdym kroku ochraniać. *(Jagdzeitung.)*

Z Węgier. Węgierscy myśliwi jakby zaspani zdają się nie wiele ruszać. Tak jednak nie jest na szczęście, ruszamy się i krzątamy odpowiednio do każdej pory roku. Szczególnie nieustannie prześladujemy wszelkiego rodzaju drapieżnictwo, to ubijamy lisa, to żbika, a w potrzebie umiemy i wilkowi zajrzeć w oczy. Na wiosnę wcześnie szukaliśmy słonek, ale przynosiliśmy zwykle posiniałe od zimna nosy, nie zaś długodzioby. Ptaki te wędrowne długo kazały na siebie czekać, a potem uroiło się im tak nieregularnie ciągnąć, że ostatnie pasye brały. Z wielkim trudem zaledwie 30 słonek zabiłem, gdy w niejednym roku z mniejszem wysileniem cztery razy tyle pozyskiwałem. Ciąg różnorodnych kaczek był żywszy, wyzyskiwano go też starannie. W niewielkiej liczbie ubitych kaczek nie było rzadkości. W takiej porze nie wiele zdobyć można, dopiero silny rogacz i krasny jeleń daje myśliwemu bogaty plon. Dobry to wtedy czas. Dołączam spis ubitej zwierzyny w r. 1886 w dobrach księcia Koburgskiego na Węgrzech. Padło: 71 jeleni, 16 danieli, 116 rogaczów, 150 dzików, 530 zajęcy, 1.163 królików, 1 cietrzew, 227 bażantów, 63 jarząbków, 67 kuropatw, 10 przepiórek, 40 słonek, 7 kaczek, 15 gołębi, 1 niedźwiedź, 255 lisów, 24 żbików, 37 kun, 32 tchórzów, 3 wydry, 30 borsuków, 462 sztuk różnorodnych drapieżników, 11 orłów, 4 puhacze i 3.600 rozmaitych drapieżnych ptaków.

C. M. („Weidmannsheil“).

Z Bukowiny. Tegoroczna wiosna rozpoczęła się całym szeregiem rozczarowań dla myśliwych. Naprożno wybiegali oni już wcześnie po słonki, wreszcie przyniósł ktoś jedną. Był to sygnał do pospolitego ruszenia. Ale niestety żadna słonka się nie pojawiła. Późno dopiero poczęły ciągnąć nieregularnie, ciągnęły i chrapały, że aż radość brała. Nie wiele takich dni wyzyskano gorliwie i ubito znaczną liczbę długodziobów. Jeden z myśliwych był nawet tak szczęśliwym, iż dostarczył na rozkład czapkę swego sąsiada, zawieszoną na gałęzi. W odnogach karpackich począł się tok głuszców później niż zwykle, z wielkim żalem niewielu myśliwych, którzy w tych górach umiejętnie na głuszce polują. Gdy wraz z cieplejszem powietrzem porządny tok się rozpoczął, ubito niemało głuszców, czy to wieczorem przy zapadaniu, czy też ze świtem na tokowisku. Jeden z bardzo gorliwych myśliwych doprowadził liczbę ubitych do 16 głuszców i 20 cietrzewi, co przecież jest rezultatem wcale świetnym, gdy się zważy, że niczyjej nie użył pomocy i sam wszystkie głuszce podchodził. Znajdował przeważną ich liczbę w głębokich górach, gdzie nie były niepokojone i łatwiej dawały się podejść niż w rewirach, w których już się z myśliwymi zetknęły. Jednemu z myśliwych zdarzył się szczególny wypadek. Zrana przed świtem umieścił się pod drzewem, gdzie z głuszcem spotkać się spodziewał. Po pewnym czasie usłyszał pierwsze telękanie, ale w długich przerwach i tak dziwne, jakiego nigdy jeszcze nie słyszał. Wytężył naturalnie uwagę, lecz nie zdołał w gęstych gałęziach niczego dostrzedz, ani też jakiego głosu usłyszeć. Raz tylko zdawało mu się, że słyszy chrzęst gałęzi, poczem ucichło. Co raz się rozjaśniało, ale nic się nie odzywało. Głuszec się nie zerwał, więc musiał być śród gałęzi. Myśliwy bystro je rozpatrywał, z największą ostrożnością zmienił swoją pozycyę i wreszcie spostrzegł coś nakształt głuszca. Bez namysłu strzelił, poczem głuszec uleciał. Ale równocześnie coś się przez gałęzie przedzierało i spadło na ziemię, podskoczyło świszcząc i chrapiąc kilka razy może na metr w górę i w końcu uspokoiło się. Gdy się myśliwy zbliżył ku swej zdobyczy, rozpoznał w niej ogromnego żbika. Cały ładunek utkwił w głowie jego tak, iż czaszka była prawie roztrzaskana. Czyż ów kot podkradał się pod głuszca? Wszak na pewne utrzymują, iż żbik i ryś podchwytują tokującego głuszca. Może który z Szanownych Czytelników z swej praktyki lepiej tę wątpliwość rozjaśni. *C.*

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.